

Róża Parczewska – zapomniana malarka z Wileńszczyzny. Część 2.

JOLANTA KLIETKUTĖ (*Kretynga, Litwa*)

Stanisława Kucewicz (*tłumaczenie*), **Joanna Sokołowska-Gwizdka** (*redaktor wersji polskiej*)



W niemieńczyńskim kościele, fot. Adomas Daukša, LDM, Fi 1986
Malarstwo religijne w kościołach

W XVI w. w większości państw Europy Zachodniej w koncepcji sztuki nastąpił przełom, którego istota polegała na autonomii osobowości artysty, zrozumieniu, że sztuka rządzi się nie tylko zasadami, ale przede wszystkim zależy od talentu, wyobraźni i intuicji autora. Renesans zamknął etap historii sztuki anonimowej i otworzył historię sztuki autorskiej. Wtedy znalazły się, w dzisiejszym rozumieniu, kopie dzieł sztuki – jako

powtórzenie znanych prac słynnych malarzy. Pojawienie się kopii i ich rozpowszechnienie, było także związane z początkiem zbierania kolekcji dzieł sztuki: nie mając możliwości posiadania eksponatów, należących do innych właścicieli, miłośnicy sztuki, zamawiali kopie. Jednak fenomen kopii w Europie Zachodniej w malarstwie jest jeszcze bardzo mało zbadany.

Zarówno profesjonalni jak i mniej wykształceni malarze byli pod silnym wpływem ikonograficznych przykładów. Na Litwie rozpowszechniły się różnego typu druki, małe obrazki o treści religijnej, przeznaczone do prywatnej modlitwy. Powstawały też obrazy dużych rozmiarów, które można było zawiesić w kościele lub w kaplicy. Do połowy wieku popularne były litografie ze słynnych niemieckich i francuskich drukarni. Miejscowi malarze chętnie korzystali z dzieł pochodzących z Europy Zachodniej i Środkowej, lub ich grawerowanych reprodukcji. Używali ich jako punkt wyjścia w swoich dziełach.

Róża Parczewska od miniatur przeszła do malowania farbą olejną dużych obrazów dla kościołów. Skromna i pokorna malarka fachowo i dokładnie kopiowała prace przedniejszych mistrzów. Jednak pomimo – odpowiednich kwalifikacji, nie odważyła się, aby tworzyć oryginalnie. Władysław Syrokomla o jej pracach pisał:

znawca oddaje pochwałę przezroczystości kolorytu; widne tam umiejętne traktowanie draperyj, precyzja cieniów, gradacya swiateł, umiejętne wydanie muskułów, a nadewszystko uzucie, które kierując ręką niewiasty artystki, hojnie okupuje właściwy jej płci niedostatek – brak śmiałej energii w pociągach pędzla, brak szczegółowych anatomicznych studjów.

Obrazy dużego formatu malowane farbami olejnymi, podarowała kilku kościołom. Według pracy, malowanej ok. 1756–1758, Szymona Czechowicza (1689–1775), która była w wileńskim kościele św. Katarzyny, 1831 r., Róża Parczewska namalowała obraz „Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panny Maryi” (nazywany „Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny”), i podarowała go do kościoła franciszkańskiego w Kretyndze. W akcie wizytacyjnym kościoła z tego okresu wspomina się nowy, duży (211–124 cm) wspaniały obraz Maryi Panny. Na odwrocie obrazu, w górnej części pod ramą pomocniczą znajduje się napis w języku polskim „R 1831. Malowała panna Ruża Parczewska Pułkownikówna w Cerwonym Dworze”. Latem 2017 r. ten obraz został odrestaurowany przez Kęstutysa Banysa, konserwatora polichromii Muzeum Sztuki M. K. Cziurlionis.



Szymon Czechowicz, ołtarz w węgrowskim kościele w Polsce



Szymon Czechowicz, wileńskim kościele św. Katarzyny,
LDM, T 15942

Jeszcze jeden obraz według dzieła Szymona Czechowicza w 1837 r. namalowany przez Różę Parczewską, wisi w jednym z piękniejszych kościołów XVIII-XIX w. na Białorusi – w Grodzieńskiej Katedrze, w kaplicy Matki Bożej Studenckiej, na ołtarzu z cudownym wizerunkiem Matki Bożej. Na odwrocie obrazu, jak i na obrazie, który znajduje się w Kretyndze, jest podpis autorki. Wcześniej ten obraz zasłaniał znajdujący się w

ołtarzu obraz Maryi Snieżnej (Rzymski kościół S. Maria Maggiore). W roku 1923 białoruski, litewski i polski archeolog, historyk sztuki i numizmatyk, Józef Jodkowski (1890–1950) pisał, że namalowany przez Różę Parczewską obraz N. M. P. Niepokalanego Poczęcia został uszkodzony przez restaurację, bo restauracja przeprowadzona została przez nieudolnego malarza od szyldów. Ten obraz jest skromniejszy, nie tak starannie namalowany, nie ma na nim tak obfitego zastępu aniołów, jak na obrazie w kościele w Kretyndze.

W Kretyndze obraz Róży Parczewskiej jest uważany za cudowny, w 1986 r. wisiało nad nim 45 wot – znaków wdzięczności za otrzymane cuda. W styczniu 2018 r., na ścianie była zawieszona deska obciągnięta czerwoną wstęgą, na którą przeniesiono 96 wot. Obraz Kretyngskiej Najświętszej Maryi Panny został wpisany do rejestru dóbr kultury (pod kodem 20195).

Jednak zdaniem białoruskich badaczy sztuki, obraz Matki Bożej z Grodna nie jest na tak wysokim poziomie artystycznym, aby przyciągnąć uwagę naukowców.

Możliwie, że do namalowania obrazu Niepokalanego Poczęcia Marii Panny natchnęło malarzkę wydarzenie, które miało miejsce 27 listopada 1830 r. Siostrze zakonnej z kongregacji Paulinów św. Wincentego, Katarzynie Laboure (Catherine (Zoe) 1806–1876) objawiła się Matka Boska nakazała zakonniczy

wybicie i rozpowszechnianie medalika z wizerunkiem NMP Niepokalanego Poczęcia. Medalik ten szybko zasłynął cudami.



Róża Parczewska 1871 r., „Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panny Maryi” w kościele w Kretyndze, fot. Jolanta Kietkutė, 2017 r.

Namalowane przez Różę Parczewską obrazy, znajdujące się w Kretyndze i w Grodnie, przedstawiają Najświętszą Pannę w niebie jako Niepokalane Poczęcie – temat łączy ikonograficzne typy Niepokalanego Poczęcia i Wniebowzięcia Maryi Dziewicy, które często w dziełach są połączone. W Europie szczególnie

popularne były kopie obrazu „Niepokalana” autorstwa Bartolomea Estebana Murillo (1617–1682). Namalowane dzieło kopiowali zawodowi malarze, wyrobnicy warsztatów kościelnych i amatorzy. Spośród 30 dzieł stworzonych przez B. E. Murillo na ten temat na Litwie najczęściej były kopiowane dwa: „La Inmaculada de Soult” (1678, muzeum w Pradzie) i „Immaculata” (około 1680, Ermitaż, kolekcja Roberta Valpole). Znajdujący się oryginał w Ermitażu w swoich pracach powtórzył Szymon Czechowicz, którego pracę bardzo dobrze skopiowała Róża Parczewska.

Możliwie, że i inne swoje prace Róża Parczewska malowała wzorując się nie na kopiach, a nie na reprodukcjach Szymona Czechowicza, wydanych w 1815 r.

Dla kościoła św. Michała Archanioła w Niemenczynie Róża Parczewska podarowała obraz o niepopularnej fabule w litewskiej sztuce sakralnej „Rozmowa Chystusa z Nikodemem”. Obie figury wielkości naturalnej, siedząc rozmawiają przy stole, nad którym wisi starożytna lampa. Obraz spłonął 2 sierpnia 1842 r. podczas pożaru w miasteczku, kościół w tamtym czasie był drewniany. W latach 1848–1855 został wybudowany murowany kościół, którego fundatorem był brat Róży, Aleksander Parczewski. Wzorując się na jednym z najbardziej znanych włoskich malarzy renesansu Rafaela (1483–1520) Róża Parczewska w 1837 r. namalowała obraz „Przemienienie

Chrystusa” (6 arszynów długości i 3 szerokości). Ten obraz został przeznaczony do kaplicy Niepokalanego Poczęcia NMP w Katedrze Wileńskiej. W katedrze obraz wisiał kilkanaście lat, a po śmierci malarki, za pozwoleniem wileńskiego biskupa Wacława Żylińskiego (1803–1863), jej brat Aleksander przeniósł obraz na główny ołtarz świątyni w Niemenczynie. W roku 1920 w dokumentach kościelnych zapisano, że na głównym ołtarzu znajduje się cudowny obraz „Szkaplerznej” (Świętej Matki Bożej z góry Karmel), zasłonięty obrazem „Przemienienie Chrystusa”. Obraz wraz z ołtarzem spłonął w 1947 r. podczas pożaru.



Róża Parczewska, 1837 r., „Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panny Maryi” w kościele w Grodnie.



Fotografia z książki: Kałamajska-Saeed, M. Katedra w Grodnie.

Kraków, 2015, s. 424

W pierwszej połowie XX w. Róży Parczewskiej błędnie przyznano autorstwo jeszcze dwóch obrazów: „Święty Jerzy” i „Św. archanioł Michał”, jednak doktor hab. Rūta Janonienė wskazała, że te obrazy są pędzla Jana Moraczyńskiego (Jan Chwalibóg Moraczyński, pseud. Jan Chwalibóg od Wschodu, 1807–1870).

Oprócz czterech wspomnianych obrazów Aleksander Parczewski wymienia inne malowane farbą olejną:

1. obraz „Najświętszej Panny Bolesnej”, na którym była przedstawiona siedząca Matka Boża naturalnej wielkości, patrząca na leżący na kolanach wieniec cierniowy swego Syna. Praca wykonana została subtelnie, z pierwszego obrazu szkoły włoskiej, bardzo dokładnie zostały przeniesione szczegóły i koloryt. Zdaniem A. Parczewskiego to najlepsze dzieło siostry. Obraz był podarowany znajdującemu się w Żytomli kościołowi Niepokalanego Serca NMP. Musiał być namalowany i podarowany do 1831 r., bo należący do Konstantego Parczewskiego dwór Żytomla powiatu grodzieńskiego z 761 mieszkańcami został w 1833 r. skonfiskowany a udział w powstaniu po aresztowaniu właściciela.

2. „Ukazania się Chrystusa Apostołom” (z czarnego sztychu Rembrandta) – obraz nieduży (45×52 cm), na którym pięknie zostało odzwierciedlone światło i figury znajdujące się w cieniu.

3. „Uwolnienie św. Piotra z okowów przez Anioła” (według Pompeo Batona).

4. „Św. Romuald śpiący”. Fabuła obrazu – marzenie założyciela Zakonu Kamedułów o mnichach wznoszących się po drabinie do nieba, co oznacza, że królestwo niebieskie osiąga się przez

wspinanie się po schodach doskonałości.

5 i 6 – o niedużej wielkości obrazy: „Głowa Chrystusa Pana”(Acheiropita) i „Chrystus pomiędzy faryzeuszami”.

7. „Madonna” (według Il Garofala – Benvenuto Tisi)
przedstawiona Św. Maryja Panna ze złożonymi rękami do modlitwy.

8. „Sąd św. Pawła”.

9. Portret Zofii Potockiej (według Giovanni Battista Lampi).

10. „Maryja Egipcjanka”. Zdaniem A. Parczewskiego, obraz był *pięknie i śmiało zaczęty lecz niezupełnie skończony*.

11. „Widok grobowca greckiego.

W nekrologu Ró Parczewskiej „Gazeta Warszawska” napisała, że malowała i pejzaże, jednakże w innych publikacjach nic o tym się nie wspomina.

Wszystkie prace malowane farbą olejną i miniatury, Róża Parczewska rozdawała. Kilka jej prac miała galeria Ermitażu w Sankt-Petersburga. Niestety sprawdzwszy zapasy galerii sztuk pięknych Europy Zachodniej w Ermitażu Sankt-Petersburga i

zapasy kultury rosyjskiej – prac Róży Parczewskiej nie znaleziono.



Róża Parczewska, 1837 r., kopia Rafaela, 1516–1520
„Przemienienie Chrystusa” (fragment)

Portret R. Parczewskiej

Róża Parczewska zmarła w 1852 roku, mając zaledwie 53 lata. W tym czasie fotografia w Wilnie już była znana prawie od dziesięciu lat. Możliwie, że Róża odwiedzała fotografa, może był wykonany portret, niestety nie wiemy, czy zachował się, a jeżeli jest w muzeach, czy w bibliotekach może być nazwany portretem nieznanym kobiety.

Portret malarki około 1838 roku namalował francuski malarz Antoine Maurin (1793–1860). Przedstawił ją ubraną w ciemną sukienkę, siedzącą przy stole z paletą i pędzlami. W Paryżu, w wydawnictwie Lemercier, w 1857 r. była wydana litografia. To dzieło rozprzestrzeniło się na świecie. Może być, że taką litografię miał Konstanty Parczewski w dworze Jakubowo i później podarował do klasztoru franciszkanów w Kretyndze, bo w 1913 r. w jednym z gościnnych pokoi na ścianie wisiał właśnie ten obraz Róży Parczewskiej otrzymany z dworu Jakubowo. Jednak teraz w klasztorze portretu nie ma.

W Wydziale Druku i Fotografii Francuskiej Biblioteki Narodowej w dziale portretów i mikrofilmów oraz w kolekcji Laruelle przechowywane są po jednym portrecie Róży Parczewskiej (i jeden jej bratanka Konstantego Parczewskiego) – naiprawdopodobniej to są te same prace litograficzne A. Mauriniego. Portret przedstawiający Róży Parczewską – litografię rzeźby A. Mauriniego – na Litwie możemy zobaczyć tylko w zakrystii kościoła w Niemenczynie.



Portret przedstawiający Różę Parczewską w zakrystii kościoła w Niemenczynie, fot. Jolanta Klietkutė, 2018 r.

Podsumowanie

Róża Parczewska w ciągu ostatnich 20 lat życia malowała obraz „Niepokalane Poczęte NMP”, jednak nie można go zobaczyć w grodzieńskim kościele, ponieważ jest ukryty w ścianie kościelnej. Nie wiadomo, czy pozostał obraz artystki „Najświętszej Panny Bolesnej” w kościele w Żytomli, ponieważ nikt nie odpowiedział na zapytanie.

Ołtarz kościoła w Niemenczynie z przełomu XIX i XX w. zdążył zachować fotograf Adam Dauksza, ale na zdjęciu widać zaledwie

kontury obrazu Róży Parczewskiej „Przemienienie Chrystusa”. Obecnie można zobaczyć tylko dzieło malarki – obraz ołtarza Matki Bożej w kościele w Kretyndze.

Róża Parczewska nie była zawodową malarką, nie miała odpowiedniego wykształcenia, jednak jako malarka amatorka osiągnęła niezłe wyniki: była pierwszą kobietą malarką, brała udział w wystawach i jej prace doczekały się słów pochwały. Współcześni badacze sztuki jej osiągnięcia w malarstwie oceniają średnio, jednak dwie prace, które zachowały się i są uznawane za specyficzne przykłady XIX w. malarzy amatorów, uznają za ciekawe i cenne.

Na przełomie XX-XXI w. uwagi dla Róży Parczewskiej nie brakuje (według E. Rastawieckiego, wspomina się w polskich, białoruskich, czeskich, amerykańskich oraz litewskich słownikach malarzy), jednak trzeba przyznać, że twórczość malarki jest mało znana, między innymi dlatego, że nie zachowały się jej prace. Twórczość Róży Parczewskiej jak i „twórczość większości malarzy przeszłości możemy oglądać tylko w zarysie, dlatego oceniać ich dorobek, znany jedynie ze źródeł pisanych, jest niezwykle trudno, zarówno przy zastosowaniu profesjonalnych kryteriów, jak i wyciągając ogólne wnioski”.

Wersja bez przypisów i bibliografii. W razie zainteresowania pełną wersją proszę kontaktować się z redakcją.

*

© Jolanta Kietkutė, 2021, Muzeum w Kretyndze

ISBN 978-609-475-746-4

Część 1:

Róża Parczewska – zapomniana malarka z Wileńszczyzny.
Część 1.

Róża Parczewska – zapomniana malarka

z Wileńszczyzny.

Część 1.



Róża Parczewska, rys. Antoine Maurin,
fot. Gintas Kavoliūnas, 2017 r.

JOLANTA KLIETKUTĖ (*Kretynga, Litwa*)

Stanisława Kucewicz (tłumaczenie), **Joanna Sokołowska-Gwizdka** (redaktor wersji polskiej)

Na Litwie, zarówno nazwisko, jak i prace malarki Róży Parczewskiej są mało znane, choć krótka informacja znajduje się w słowniku malarzy, to u naszych sąsiadów za granicą, prasa i inne źródła imię Róży Parczewskiej wspominają nawet i w czasach dzisiejszych.

Jeszcze niedawno na twórczość kobiet patrzono niepoważnie, ona nie była zachowywana, doceniana, nikt nie troszczył się o ich zbiory, nie badał dokumentów. Z tych powodów są znane tylko pojedyncze XIX w. egzemplarze twórczości kobiet – malarek, dlatego niemożliwie jest, aby na ten temat wyciągać jakiegokolwiek wnioski

– cytata dr. Jolanty Širkaitė bardzo dokładnie wskazuje na przyczyny, dlaczego na temat życia i twórczości malarki R. Parczewskiej zostało tak mało informacji.

Podstawowe i najwierniejsze źródło, odzwierciedlające osobowość malarki i wyliczające jej prace, jest wydana przez jej brata Aleksandra w 1854 r. książeczka „Mowy pogrzebowe po śp. Róży Parczewskiej”, czyli zbiór mów wygłoszonych na pogrzebie Róży Parczewskiej.

Wstęp do książeczki napisał Aleksander Parczewski, który jak nikt inny dobrze poznał jej życie i twórczość. Drugie źródło – to prasa tamtego czasu, w której czasem ukazywała się wiadomość o malarce z Wileńszczyzny. W 1854 r. ukazał się tekst w warszawskiej prasie, autorstwa Władysława Syrokomli (1823–1862), w którym autor docenił prace Parczewskiej. Dzięki niemu informacja o malarce była wydrukowana w pierwszym dużym wydaniu słownika polskich malarzy z 1857 r., wydanym przez Edwarda Rastawieckiego (1804–1874), pt. „Słownik malarzów polskich tudzież obcych w Polsce osiadłych lub czasowo w niej przebywających”.

Według źródeł pisanych XIX wieku, publikacji i materiałów ikonograficznych Litewskiego Muzeum Sztuki, publikacja zawiera przegląd biografii i twórczości malarki. Życie Róży, zebrane z różnych źródeł i przedstawione w tej publikacji, to zaledwie niewielki procent, tego, co można by o niej napisać. Postać ta zasługuje na znacznie bardziej szczegółowe studium historyczne, a może nawet na pióro pisarza.



Pałac Parczewskich w Czerwonym Dworze, w Niemenczynie, fot. Jolanta Kłietkutė, 2018 r.

Droga życiowa

Róża Parczewska urodziła się 15 września 1799 r., w niemeńczyńskiej parafii w Czerwonym Dworze, w rodzinie pułkownika Ignacego (1770-1821) i Salomei z Dziewońskich (1770-1804) małżonków Parczewskich.

Po śmierci ojca w 1821 r., mając wówczas zaledwie 22 lata, postanowiła nigdy nie wyjść za mąż, aby nie zmienić sytuacji materialnej swoich braci – Aleksandra (1800 – 1860) i Konstantego (1801-1855), z którymi od najwcześniejszych lat

była bardzo związana. Poświęciła się wychowaniu sześciolatniego Antoniego Onufrego Erazma (1814–1897), syna ojca i jego drugiej żony Katarzyny Żukowskiej (1814–1897). Jej brat Konstanty na cześć siostry, swoją pierwszą córkę, nazwał imieniem Róża.

Róża Parczewska pomogła swojej bratanicy Salomei (ur. 1827), córce brata Aleksandra, zdobyć wykształcenie. W 1847 r. po śmierci Tekli (1810–1847), żony Antoniego Onufrego Erazma, opiekowała się ich dziećmi Felicją (1840–1918) i Konstantym (1843–1920). Bratanek Konstanty później zamieszkał we dworze Jakubowo (Kretyngski r.) tam przywiózł portret swojej cioci Róży.

Róża Parczewska swoje życie poświęciła rodzinie, miłosierdziu i malarstwu. Była osobą wykształconą, lubiła historię, literaturę, czytała w kilku językach obcych. Nie tylko bliskich, lecz i obcych ludzi urzekła swoją serdecznością, była czułą dla ludzi z różnych warstw społecznych i z różnym wykształceniem. Była osobą głęboko wierzącą, modliła się gorliwie za swoich bliskich, nie małą część dóbr materialnych przekazywała na działalność charytatywną.

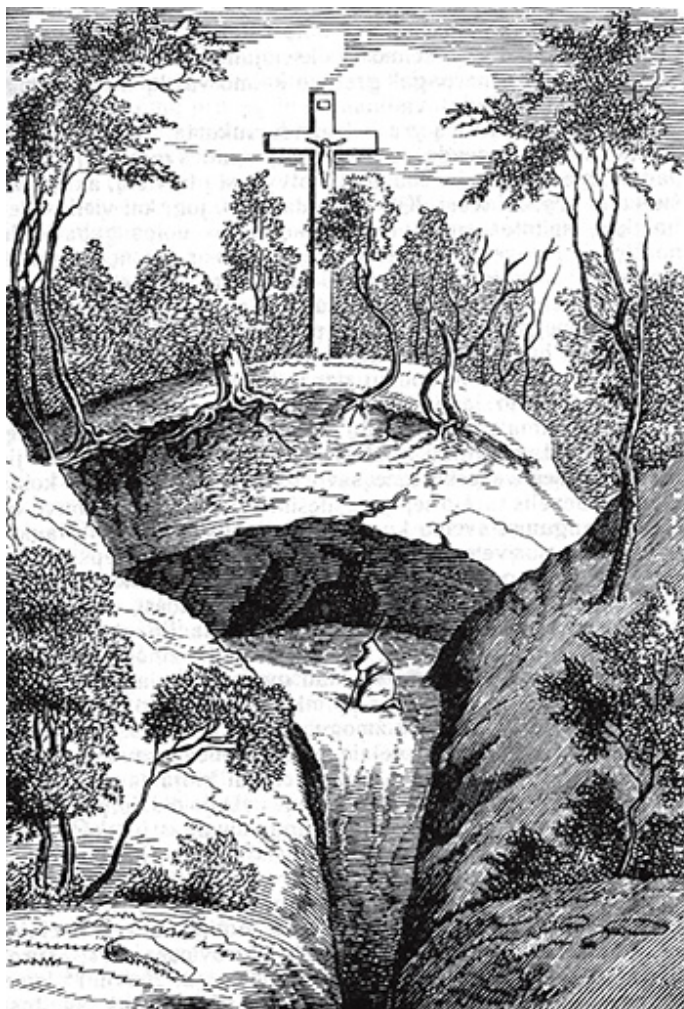
Pięć lat po śmierci Róży Parczewskiej, w 1857 r., litewski historyk, archeolog, etnograf i kolekcjoner Konstanty Tyszkiewicz (1806–1868) organizował ekspedycję naukową statkiem po Wilii do Niemna. W książce o podróży, pierwszy raz

wydanej w 1871 r. w Dreźnie Tyszkiewicz wspomina:

Tutaj spotkałem w ustach włościan najpiękniejsze – na jakie tylko może zasłużyć czysta i pocziwa dusza – wspomnienie o naszej znakomitej litewskiej artystce – pannie Roży Parczewskiej. Nazywają ją włościanie tutejsi swoim aniołem, któren, gdy im zszedł z tego świata, strasznie wiele pociechy dla nich ubyło; bo ona, jak mówią ludzie, o nikim nie zapominała nigdy; każdy u niej znalazł radę, pomoc w potrzebie lub pociechę w utrapieniu. Wysoki talent w malarstwie był stroną głośną, którą jaśniała ta niewiasta na Litwie; boć przecie Bóg rozdaje pomiędzy ludzi wyłącznych wielkie talenta na to, ażeby ich imię głośne na całym świecie przewodniczyło i przyświecało reszcie ludzi, nadając im kierunek moralny. Gieniusze rzadziej pojawiające się, talentą częściej rodzące się, przynoszą, z sobą, na tę ziemię jakieś posłannictwo dla postępu i dla szczęścia ludzkości całej, którego dopełnić muszą; bo świat zapełniony samemi tylko ludźmi pospolitemi, zwyczajnemi, nie odświeżany żadną nową myślą, ani ożywiony wzniosłą ideą, mającą pożyteczny kierunek, prędko by zestarzał, zbutwiał i spleśniał, jak pleśnieje woda, świeżym źródłem nie ożywiona.

– Panna Róża Parczewska, urodzona 15. Września 1799 r., w młodości rysunkowi miniatur oddana, nad temi długo

pracowała. Miniatury pędzła tej artystki znane są nie tylko na Litwie wśród rodzin prywatnych, a jej przyjaznych, jakim ta artystka ze swoich robót dary pamiątkowe czyniła: lecz i galerya cesarska w Ermitażu kilka takowych posiada. Od miniatur przeszła Róża Parczewska do robót olejnych. Sceny święte stały się wyłącznym przedmiotem dla jej pędzla – celem zaś prac tej artystki były najczęściej obrazy do nowo wznoszących się kościołów na Litwie, do których okazałe ze swego talentu ofiary czyniła. Po szczegółową wiadomość o jej pracach malarskich, odsyłamy ciekawego do mów pogrzebowych, mianych po tej artystce, drukowanych w Wilnie w 1854 r., w których one z bliższą ich znajomością porządkiem są wyliczonemi. Miłość bliźnich, dobroczynność, gotowość do wszelkich ofiar – cnoty z największą skromnością cicho wykonywane – były stroną, moralną, mniej głośniejszą tej osoby. Trzeba było, jak mnie się to zdarzyło, po Wilij popłynąć, zajrzeć w jej rodzinną okolicę, gdzie ona oddana cała sztuce, ostatnie lata swego pożytecznego żywota zakończyła, posłuchać głosu ludzi, którym jej chrześcijańskie cnoty szczęście przynosiły: żeby poznać i ocenić całą wartość moralną, jaką Bóg ozdobił tę kobietę. Panna Róża Parczewska umarła d. 20. Października 1852 roku. Zwłoki jej pochowanemi zostały w kościele niemenczyńskim. Cześć tej kobiecie, co umiała u ludu wiejskiego pozyskać taką miłość! Musiała ona być prawdziwie chrześcijańską niewiastą!



Święta skała w Lucianach poblizu pałacu Czerwony Dwór w Niemenczynie. Ilustracja z książki Konstantego Tyszkiewicza, 1871 r. i fotografia Jolanty Kłietkutė, 2018 r.

Ciche, pobożne i pokorne życie, które prowadziła malarka, doczekało się nie tylko pochwały, ale i zarzutów. Po kilku latach od jej śmierci, w prasie pojawiły się publikacje o możliwie zbyt bliskiej przyjaźni z księdzem, znanym w tamtych czasach wileńskim kaznodzieją, Ludwikiem Gabrielem Trynkowskim (1805–1849). W lipcu 1838 r. ksiądz Trynkowski był pojmany i oskarżony za to, że w swoich kazaniach *wypowiadał się przeciw carskiej władzy, podtrzymywał powstanie Szymona Konarskiego, należał do Narodowego Związku Polaków*. Wśród

skonfiskowanych dokumentów znaleziono kilka listów kompromitujących *jedną z najznacześniejszych w Wilnie panien*. Tym faktem, starał się zwrócić uwagę duchownych Kościoła Katolickiego, wileński wicegubernator Aleksej Trubecki (1806–1855). Róża Parczewska tym samym stała się obiektem plotek, ponieważ w tamtym czasie mówiono o niej jak o świętej – oddanej Bogu i służeniu biednym. Na skutek przesłuchań L. G. Trynkowski zachorował na chorobę psychiczną, lecz mimo to w 1839 r. został zesłany do Irkucka. Zmarł na zesłaniu, nie powróciwszy do zdrowia. Ta zachwycająca i niezwykle bolesna przyjaźń, duchowa więź, czy miłość jeszcze przez długie lata była omawiana przez polską i wileńską społeczność.

Większą część swojego życia malarka spędziła w domu, w kręgu rodziny, w Czerwonym Dworze, była słabego zdrowia, co roku zapadała na zapalenie płuc. Raz tylko w 1847 r., będąc ze swoją bratanicą – Salomeą w Ciechocinku, aby leczyć płuca, zwiedziła Częstochowę i Warszawę. Niestety pobyt w uzdrowisku nie pomógł, przez kilka miesięcy była bardzo chora. W następstwie choroby 20 października 1852 roku o godzinie 12 w nocy, po uprzednim opatrzeniu Świętymi Sakramentami odeszła na zawsze, w otoczeniu bliskich w Czerwonym Dworze.



Kościół św. Michała Archanioła w Niemenczynie, fot. Jolanta Klietkutė, 2018 r.

22 października 1852 r. odbył się pogrzeb Róży Parczewskiej w kościele św. Michała Archanioła w Niemenczynie, pochowana została w kościele obok ojca, matki i ojca drugiej żony. W czasie pogrzebu świątynia była wypełniona ludźmi pogrążonymi w żałobie. Na pogrzebie przemawiali: ksiądz z Kernowy, Michał Jabłoński, profesorowie wileńskiego seminarium Fortunat Ciechanowski i Augustyn Lipnicki.

W ścianie prezbiterium niemeńczyńskiej świątyni są wbudowane dwie pamiątkowe tablice autorstwa rzeźbiarza Józefa Kozłowskiego (1814/18–1863). Tablice są ozdobione ornamentem

na ramkach, zostały poświęcone na uroczystości pamięci konsekracji kościoła oraz tu pogrzebanym członkom rodziny Parczewskich dedykowane: Ignacemu Parczewskiemu, jego żonom Salomei i Katarzynie oraz córce Róży. Obok imienia i daty tylko przy Róży Parczewskiej wykute są słowa: *poświęciwszy swe życie Rodzinie i Ludzkości, 20 października 1852 r. do wieczności powołana została.*



Pamiętkowa tablica w ścianie prezbiterium niemeńczyńskiego kościoła, fot. Adomas Daukša. LDM, Fi 1983 r.

Róża Parczewska nawet po śmierci przyczyniła się do odbudowy kościoła w Niemenczynie w 1854 r. Jak już wspomniano, Aleksander Parczewski opublikował broszurę, w której były mowy wygłaszane na jej pogrzebie. Cały dochód ze sprzedaży tych książek został przeznaczony na odbudowę kościoła w Niemenczynie po pożarze.

W 1857 r. Aleksander Parczewski w sanktuarium kościelnym w Niemenczynie wybudował kaplicę – mauzoleum, do której nie przeniósł zwłok z kościoła. Później tu byli grzebani krewni Parczewskich. Dziś w kaplicy znajduje się 11 grobów: Aleksander Antoni Parczewski (1856-1857), Aleksander Parczewski (1796-1860), Stefania Parczewska (Eismont) (1824-1897), Antoni Onufri Erazm Parczewski (1815-1897), Aleksander Antoni Stanisław Parczewski (1884-1914), Ignacy Jakub Parczewski (1854-1919), Józefa Eleonora Parczewska (1858-1902), Marja Tekla Ludwika Parczewska (Mackewicz) (1862-1918), Stanisław Tadeusz Parczewski (1860-1922), Michał Tomasz Parczewski (1928-1939), kolejna krypta jest poświęcona kościom zebrany podczas kopania fundamentów kaplicy.



Kaplica-mauzoleum rodziny Parczevskich obok niemeńczyńskiego kościoła, fot. Jolanta Klietkutė, 2018 r.

Malowanie miniatur

Pod koniec XVIII w. i na początku XIX w. niemało dworzan, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, próbowało swoich sił w malarstwie, choć nie byli w tym kierunku wykształceni. Jedną z pierwszych znanych malarek z początku XIX w. była żyjąca w Wilnie Ona Radvilaitė-Mostovskienė, która wzięła do rąk pędzel już pod koniec XVIII w. Na początku XIX w. w dworku Zawiersza malowała akwarele Marija Mirskytė-Šumskienė, siostra malarza Edvarda Jana Romera, Anna Romerytė rysowa i malowała portrety bliskich, wnętrza dworów i widoki okolic. W dworku

Wieprie mieszkała Pelageja Kosakowska, która była żoną Aleksandera Saint Clar de Bover, razem z mężem rysowała i malowała. Córka Tyzenhauza Helena i Marija Pszezdecka, również lubiły rysować i malować akwarele. Siostry Konstantego Tyzenhauza – Sofija Choisseul-Gouffier i Aleksandera Guntherienė też amatorsko rysowały i malowały.

Korzystanie z pracy własnych rąk w wyższych sferach było wówczas sprawą niegodną szlachcica, dlatego malowano dla swojej przyjemności, albo żeby pokazać się w towarzystwie. Warto przypomnieć, że w wieku XIX w życiu politycznym, socjalnym, ekonomicznym, kulturowym i w innych dziedzinach kobiety egzystowały w cieniu mężczyzn. Ich udziałem było bycie żoną, matką i gospodynią domu. Córki bogatszych rodziców otrzymywały wykształcenie początkowe w domu, dalej pobierały naukę w żeńskich gimnazjach, w szkołach lub pensjonatach, założonych przez osoby prywatne, albo przy świątyniach czy klasztorach. W pensjonatach odbywało się nauczanie języków obcych, geografii, matematyki, historii, robótek ręcznych, tańców, muzyki, rysunków, śpiewu. Dużo uwagi zwracano też na wychowanie moralne oraz religijne. Panienki otrzymywały takie wykształcenie, żeby mogły pokazać się w wyższych sferach: umieć tańczyć, grać na fortepianie, dostojnie i swobodnie zachowywać się w salonach, znać etykietę i umieć prowadzić konwersację na różne tematy. Zajęcie się malarstwem, muzyką, czy literaturą dla młodych dziewczyn było modnym spędzaniem

czasu, jednak po zamążpójściu sytuacja zmieniała się – hobby miało nie przeszkadzać obowiązkom rodzinnym. Malarstwo więc sprowadzało się do rysunków i malowania akwarel w albumach dworskich. Kobiety, które zdecydowały się zostać malarkami, musiały wyrzec się życia osobistego. Gdzie i kiedy Róża Parczewska uczyła się malarstwa – nie wiadomo, jednak wybrała w tamtych czasach niełatwą, niewdzięczną rolę kobiety – malarki. Malarstwo stało się częścią jej drogi życiowej.

W młodości Róża Parczewska zajmowała się wyłącznie malowaniem miniatur. W 1825 r. malarka na wzór pracy francuskiego malarza Jeana Petitot (1607–1691) na słoniowej kości namalowała miniaturę o rozmiarach 5,8 x 5,1 cm „Chrystus Pan”. Ta miniatura na początku XXI wieku była wystawiona na sprzedaż na aukcji internetowej. W 1827 r., 19 października wielki książę Mikołaj (syn imperatora Pawła) odwiedził Wilno. Podczas wizyty, w podziękę dla Róży Parczewskiej za podarowaną mu miniaturę „Zbawiciela” (według Jeana Petitota), namalowanej na słoniowej kości, wręczył jej fermuar brylantowy.

Róża Parczewska była pierwszą kobietą na Litwie, która uczestniczyła w wystawach sztuki. W 1822 roku pierwszy raz w historii imperium rosyjskiego pozwolono kobietom brać udział w wystawie malarskiej. Wówczas „panna Róża Parczewska, sposobem bardzo pięknym miniaturowym, zrysowała Najświętszą Matkę, trzymającą na ręku Pana Jezusa”.

Wystawy prac malarskich, rysunków, rzeźb miały zapoznać lokalną społeczność z pracami studentów Wileńskiego Uniwersytetu, wydziału malarstwa. Pierwsza wystawa odbyła się w 25-30 czerwca 1820 r. Później wystawy odbywały się co roku, a od 1824 r. – co dwa lata aż do zamknięcia Uniwersytetu. W 1822 r. „Dziennik Wileński” sporo uwagi przeznaczył wystawom, jednak przeproszał czytelników, że z powodu obfitości prac nie może ich wiele pokazać. W publikacjach autorzy byli nie tylko chwaleni, ale i mocno krytykowani za błędy, nie właściwie wybrany pierwowzór albo za nieodpowiednie kopiowanie i podobieństwo koloru farb. Jediną kobietą wśród mężczyzn i jedyną autorką, która w tej publikacji otrzymała słowa pochwały była Róża Parczewska.

N^o 301

D. 9. Listopada.

PIĄTEK.

ROK 1827.

KURJER

Warszawski

WSPOMNIENIA.

Unja Kawalerów
Polsko-Maltań-
skich 1785.

NOWOŚCI WARSZAWSKIE.

Onegdaj, w niektórych okolicach okilkamił od Warszawy spadły śniegi w bardzo znacznej ilości. — Dziś zimna stopni 3.

Za 100 zł: w List: Zastaw: bez 2ch kuponów, białych. Przedający żądają zł: 85 gr: 15. Kupujący ofiarują zł: 85. Istotnie przedano od zł: 85 gr: 7 i pół do zł: 85 gr: 15.

W Księgarni Józefa Pułszy przy ulicy Sto Jańskiej Nr 21, wyszło z druku nakładem tegoż, Dzieło pod tytułem: *Kwentyn Durward czyli Skot przy Dworze Ludwika XI.* Tłómaczenie z *Walter Skotta* w 4ch tomach na zwyczajnym papierze, cena zł: 16. — W tejże Księgarni dostać można Dziełka pod tytułem: *Kawaler z Zakonu Maltańskiego* powieść historyczna w 2ch tomach, cena zł: 7.

IPani Maria Szymanowska pierwsza Fortepianistka NN. CESARZOWYCH, wyjechała do miasta Moskwy.

Wczoraj na ulicy Czerniakowskiej znaleziono nieżywego ubogiego Człowieka, mogącego mieć lat 60, tkniętego apopleksją.

Walc sentymentalny z 4ch części, tudzieżiany do tańca, *Mazur i Galopada* przez *Serravalle*, dedykowane Xiężniczce *Terezie Sapiieżance*, wyszły świeżo z litografii A. Brzezińskiego, sprzedają się u tegoż i w składach *Kluczkowskiego*, tudzież *Florentyniego* na przeciw Bernardynów, gdzie także znajdują się do nabycia podobne dziełka tegoż autora.

Z *Augustowa*. — W dniu 27 Października

o godzinie 10tej z południa, nadeszło *Kanałem* 12 Berlinek z Warszawy przez JP. *Raszkę* dla Dyrekcji Kanatu częścią żelazem, częścią kamieniami ciosowymi wypawionych. Ciekawość oglądania takowych nigdy tu niewidzianych a nadewszystko przepuszczenie podobnego rodzaju statków poraz pierwszy przez Szluzę pod *Augustowem*, spowodowało kilkasieć mieszkańców wszelkiego stanu i wieku po nad brzeg portu, co sprawiło nader piękny widok; a porządek i szybkość w puszczeniu i przepuszczaniu statków przez Szluzę, zadziwiło nie tylko Publiczność ale nawet Szyprów. — J.R.

Z *Wilna* 21 Paździ: w. s. (Z k. L.)

Jego Cesarska Wysokość Wielki Xiążę Jegomość *MICHAŁ PAWEŁOWICZ*, powracając z podróży do Warszawy, raczył przybyć do naszego miasta, d. 19 t. m. około godziny 4tej z południa, i po zmianie koni w dalszą udał się drogę. — N. CESARZ JEGOMOŚĆ raczył udarować fermoarem brylantowym Pannę *Różę Parczewską*, za ofiarowanie Jego Cesarskiej Mości własnej pracy, *Wizerunku Zbawiciela*, wykonanej sposobem miniaturowym.

W *Kurjerze Litewskim* umieszczony jest obszerny raport Nauczyciela Fizyki w Gimnazjum Białostockim, Radey dworu Jana *Wolskiego* o nadzwyczajnem zdarzeniu, spadania kamieni w okolicach *Białegostoku*. Umieszczamy z tego opisu parę wyjątków. D. 23 Września 1827 r., między godziną 9 a 10 zrana, gdy powiększej części mieszkańcy wsi *Estow* zajęci by-

W 1845 r. w lipcu w Warszawie na odbywającej się wystawie swoje prace wystawiło: trzech rzeźbiarzy, pięciu litografów sześćdziesięciu pięciu malarzy, wśród których było sześć kobiet malarek-amatorek. Osiemnastu malarzy przedstawiło kopie prac znanych twórców i tylko dwóch autorów – miniatury. Róża Parczewska przedstawiła dwie prace: według *Pompeo Batoni* „Uwolnienie św. Piotra z okowów przez Anioła” i kopię z czarnego sztychu *Rembranta* „Chrystus z apostołami po Zmartwychwstaniu” oraz sześć miniatur: jedną według *Rafaela* „Święta Familia” i pięć według *Jeana Petitota* „Ludwig XIV”,

„Ludwig Burgundzki“, faforytka Ludwiga XIV „Louise de La Vallière“, „Pani la Rochefoucauld“, malarz „Anthony van Dyck“ (1599-1641).

Za pionierkę w malowaniu miniatur uważana jest Rosalba Carriera (1673-1757), która około 1700 r. zaczęła malować na tabliczkach z kości słoniowej. Ta technika malowania była tańszą w porównaniu z malowaniem farbami olejnymi. Miniatury malowano na tabliczkach grubości 0,3-1 mm (większe do 2-3 mm), wzdłuż resztek kości słoniowej, wypolerowanych i wybielonych na słońcu. Na tabliczce kładziono złotego koloru folię, która wzmacniała intensywność kolorów, a twarzy i rąkom dodawała ciepły ton. Malowanie akwarelą na kości słoniowej – to skomplikowany proces, ponieważ akwarela słabo przywiera, dlatego malowano bardzo cienutkim pędzelkiem, kształt modelowano drobno obrysowując i stawiając kropeczki. Koniec XVIII w. i początek XIX w. był czasem złotego wieku miniatur portretowych: malowali je prawie wszyscy najsłynniejsi portreciści, było to bardzo modne, miniatura była odbierana jako wyraz uczuć.

1730

MOWY POGRZEBOWE

0027-27460

po ś. p.

RÓŻY PARCZEWSKIĘJ.

[Parczeni Alexander
i
Morawski Jan Chwałbiż]



BIBLIOTEKA
UNIWERSYTETU
WILNIOWEGO

DUBLET
WILNO.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

—
1854.



Aleksander Parczewski, fot. Gintas Kavoliūnas, 2017 r.

Pod koniec XIX w. pisarz, Frydrych Schulz (1762–1792) odwiedzający Litwę i Polskę napisał:

W bardziej znanych domach wszyscy sobie i swoim bliskim zamawiają miniatury. W społeczeństwie było modnym noszenie miniaturowych portretów przy sercu, ponieważ nie zawsze można było to serce otworzyć komuś i co jest w sercu

pokazać, dlatego i noszono obraz przyjaciela albo sławnych ludzi, a nawet współczesnego króla.

Aleksander Parczewski opisał osiem miniatur, które otrzymał w spadku po siostrze, malowanych akwarelą na słoniowej kości: „Jezus błogosławi dzieci” (według Johanna Fryderyka Owerbeka), „Matki swojej” (według Jeana Petitota) i wspomnianych sześć, wystawianych na wystawie w 1845 r. w Warszawie.

W swoim dzienniku Konstanty Tyszkiewicz, podróżując po Wilii wspomina, że

Miniatury pędzla tej artystki znane są nie tylko na Litwie wśród rodzin prywatnych, a jej przyjaznych, jakim ta artystka ze swoich robót dary pamiątkowe czyniła.

Malarka malowała w tamtych czasach popularne miniaturowe kopie, które wykonywała bardzo skrupulatnie, doskonale odzwierciedlając oryginał, dlatego jej prace były popularne i rozpowszechniały się na dworach litewskich.

Wersja bez przypisów i bibliografii. W razie zainteresowania pełną wersją proszę kontaktować się z redakcją.

*

© Jolanta Kietkutė, 2021, Muzeum w Kretyndze

ISBN 978-609-475-746-4

Część 2:

Róża Parczewska – zapomniana malarka z Wileńszczyzny.
Część 2.

Zobacz też:

Nie ma nic wiecznego na tej ziemi

Doliną Issa w dal płynię

Irena Duchowska (*Litwa*)

Urodzona i mieszkająca na Litwie polska poetka, pedagog, działaczka społeczna, wielokrotnie nagradzana za krzewienie języka oraz kultury polskiej na Litwie. Uhonorowana Srebrnym Krzyżem Zasługi RP za wybitne zasługi w propagowaniu kultury polskiej.



Rzeka, fot. Rudy and Peter Skitterians z Pixabay

O Laudzie

I cóż to za Polak,

Co trylogii nie czyta

I będąc na Litwie,

O Laudę nie spyta?

*

Nie wie o tym, że tu

Polskość wieki przetrwała.

Pamięć o Kmicicu

W legendach została.

*

Lubicza brak na mapie,

Ale są Wodokty Oleńki

Choć pałacu już nie ma śladu,

Zachował się kościół maleńki.

*

Mitruny widać po drodze,

Pacunele dumnie witają,

Na starym cmentarzu

Znani rodacy spoczywają.

*

Szetejnie mają nowy dwór

Kraj ten Miłoszem słynie,

W parku rośnie jego dąb,

Doliną Issa w dal płynie.

Strony rodzinne

Dawne strony rodzinne...

Nie zamienią ich inne!

Pamięć o nich zostanie,

Chociaż przyszło rozstanie.

*

Ule pszczele i pasieka...

Klon widoczny z daleka,

Obok duże kasztany,

Chmiel wijący altany,

*

Krzak jaśminu za płotem,

Wygon rozległy z błotem,

Który bocian nawiedza...

Dalej już widać miedza.

Słomianka

Moja Słomianka,

niegdyś

zadbana rodowa siedziba.

Już niewiele po niej zostało...

Miejsce,

gdzie stała stodoła

porosło pokrzywą,

sadzawkę zasypano

i rosną w niej krzaki,

po studni źródlanej wody,

za gościńcem,

nie zostało śladu,

zbutwiał krzyż przy drodze,

spiłowano klony,

połamały się płoty,

znikły śliczne kwiaty,

chata zmurszała

i jakby osiadła

pod ciężarem lat.

Dziś

kłóci się z mą pamięcią,

tam już nie jest mój dom.

Sad

W starym sadzie już nie ma czereśni

I słodkiej jabłonki dziś brak

Wtulona w brzozę słyszę dawne pieśni

Pamiętam jabłek rumianych smak

*

Dawno zamilkł już młyn wesoły

Za łąką znikły zbóż złociste łany

Nie pilnują podwórza sokoły

I cymbały już nie wołają w tany

*

Brak uli w sadzie, wymarły pszczoły

Znikły w malinach szyszki chmielu

Straszą pustej sadzawki oczodoły

Sad źródłem wspomnień wielu

Ks. Jan Naumowicz

Księdza stryja osobiście nie znałam,

Ale wiele dobrego o nim słyszałam.

To legenda, honor naszej rodziny!

Akacje kwitły mu na imieniny.

*

Za swą życzliwość powszechnie lubiany,

Służbie w kościele był wielce oddany.

W Świącianach po dziś o nim pamiętają,

Świeże kwiaty grób stale upiększają.

*

Była wojna, straszne, okrutne czasy,

Odgłosy mordu pochłonęły lasy...

Niby przestępców i księży schwytano,

Błogosławiącym lud życie odebrano.

*

Niewinnym zakładnikiem ksiądz Janek był,

Śmierć spotkał wspierając współbraci, tak żył.

Jego winą największą – bycie Polakiem!

Za nim dążymy raz utartym szlakiem...

Zobacz też:

Myślą gonie do Macierzy

Z dziejów rodu Tyszkiewiczów. Wielkanoc na Żmudzi.

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndzie. W środku, oszklony Ogród Zimowy z egzotycznymi roślinami.

Na Żmudzi życie toczyło się ustalonym rytmem, od sezonu letniego do sezonu letniego, od świąt do świąt. Dzieci rosły, a dzień płynął za dniem. Wszystkim się wydawało, że czas stoi w miejscu i że nic go nigdy nie zmieni, że rodzinne tradycje, siadanie przy wspólnym stole, obyczaje i zwyczaje świąteczne są częścią ustabilizowanego, spokojnego życia.

Na Wielkanoc mniej gości przyjeżdżało z daleka. Stół wielkanocny szykowano ogromny. Wszyscy oficjaliści dworscy i inteligencja z miasteczka przychodziła składać życzenia, zapraszani więc byli do stołu. Licznie do kretyngowskiego domu przybywali urzędnicy rosyjscy oraz wojskowi z popem na czele. Wprawdzie niechętnie ich się widziało, bo taki widok raził

uczucia patriotyczne, ale wrodzona polska gościnność nakazywała, by ich też zaprosić na świąteczny poczęstunek. Hr Zofia nie mówiła po rosyjsku, więc uprzejmie się uśmiechała, kiwała głową i dawała znaki domownikom, by gościom napełniali talerze. Dopiero, gdy wszyscy byli obsłużeni, wolno było gospodarzom i młodzieży nałożyć sobie.

„Święcone” trwało dwa tygodnie. Przez pierwsze dwa dni świąt nie podawano na gorąco rosółu, potem można już było jeść wszystko. Szynki, pieczeń cieleca, głowizna, młode prosiaki, drób, ryby w galarecie, rosyjskie paschy, wspaniałe do tego sosy w wielkim wyborze. Największą atrakcją były jednak ciasta. Olbrzymi „baumkuchen” miał metr wysokości. Do tego dwanaście ogromnych mazurków, pomarańczowy, kawowy, czekoladowy, daktyłowy, migdałowy, bakaliowy, królewski itd. Ponieważ kucharze w Kretyndze głównie pochodzili z kresów, więc wyspecjalizowani byli w świątecznych babkach. Na stole musiało być co najmniej dziesięć gatunków: chlebowa, petynetowa, kawowa, szafranowa... Kucharze coraz to donosili świeże potrawy, uzupełniali znikające. Przez pierwszych kilka dni jedzenie może i było atrakcją, bo takiej obfitości różnych specjałów na co dzień nie jadano, ale po dwóch tygodniach to i najbardziej wykwinna potrawa, podana w nadmiarze mogła się przejeść.



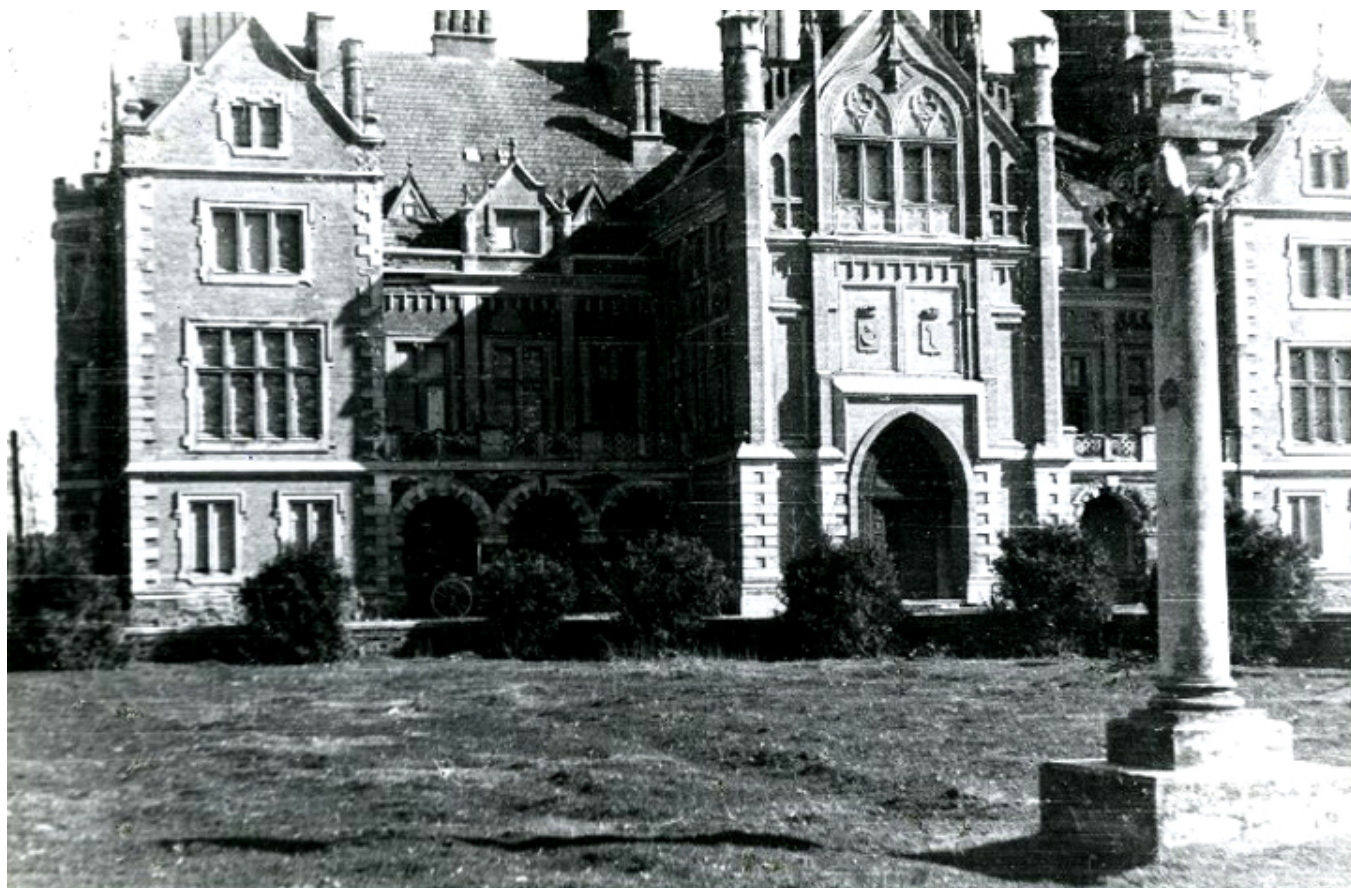
Ogród Zimowy przy pałacu Tyszkiewiczów w Kretyndze.

Józef hr Tyszkiewicz (1835-1891), syn Józefa i Anny z Zabiełłów urodził się, podobnie jak starsi bracia, w Łohojsku, rozległych dobrach na Białorusi. Wcześnie stracił rodziców, prawie ich nie pamiętał. Pewnie po dziadku Michale, pułkowniku, odziedziczył bujną fantazję, temperament czasów saskich i szeroki gest, a że już od najmłodszych lat zdradzał zamiłowanie do służby wojskowej, więc oddano go do Korpusu Paziów w Petersburgu. Gdy ukończył naukę przydzielony został do Szumskiego Pułku Huzarów, jako adiutant generał-gubernatorów Bibikowa, a potem Nazimowa. Po ojcu otrzymał dużą fortunę, co pozwoliło mu realizować marzenia, oddawać się

wielkiej miłości do koni, no i prowadzić niezwykle barwne i bujne, jak na owe czasy, życie. Odziedziczył dobra Izabelin w powiecie oszmańsko-wilejskim, Kojrany, Guszławki, Połagę na Żmudzi, która była jeszcze wówczas mało odwiedzaną wioską rybacką i inne wielkie latyfundia. Poza tym on i jego bracia, otrzymali od stryja Jana, I ordynata birżańskiego, po jednym milionie rubli, co było sumą nie małą. W roku 1855, od dwóch córek marszałka Dąbrowskiego, młody hrabia kupił majątek Landwarowo, położony niedaleko Wilna.

Po zainstalowaniu się w zamczku, w swojej nowej siedzibie, mógł hr Józef swobodnie prowadzić ruchliwe i bardzo towarzyskie życie, między Landwarowem, a Wilnem, gdzie wzywały go obowiązki służbowe. Jako wysokiej rangi oficer skorzystał z przydziału dwudziestu pięciu żołnierzy kawalerzystów – Kozaków. Towarzyszyli mu oni we wszystkich wyprawach, podróżach i przygodach wynikających z bujnego temperamentu, fantazji i pomysłowości. Pozwolił im zabrać na Litwę swoje żony, w wyniku czego miał w Lanwarowie jeszcze dwadzieścia pięć dorodnych Kozaczek, co tworzyło już niemały zastęp oddanych mu ludzi, zdolnych przyjść z pomocą w różnych sytuacjach. Nie raz przecież musiał stoczyć różne większe i mniejsze bitwy, jak chociażby z dwudziestoma bandytami pod Górą Ponarską. Jak to oficerowie w wojsku, co jakiś czas bijatyka, a co jakiś pijatyka. Raz tak się upił, że służba znalazła go leżącego w rynsztoku i odprowadziła do domu. Bardzo było

mu potem wstyd, złożył więc mocne postanowienie, że do końca życia do ust kieliszka nie weźmie. Innym razem w Landwarowie, dla zabawy zorganizował z wielkim rozmachem popisy przed gośćmi tzw. „dżigitówkę” czyli skakanie przez bryczki. Czyżby czasy i fantazja Kmicica na Litwie wcale się nie skończyły?



Pałac w Landwarowie, fot. S. Łukasiewicz, 1939 r.

Szeroko komentowanym wybrykiem młodego adiutanta gubernatora, była słynna sprawa z końmi. Chcąc sobie ułożyć życie w Wilnie, kupił w Petersburgu trójkę wspaniałych „rysaków”, którymi jeździł po mieście. Cały ten ekwipaż wzbudzał nie lada sensację. Nazimow nie był z tego powodu

zadowolony i nakazał Tyszkiewiczowi konie odesłać na wieś. Z braku koni młody hrabia z nie lada fantazją, najął... trzech brodatych, rośłych mężczyzn i sownie im zapłacił. Po czym zaprzął ich w trójkę do sań. Jednego z rudą brodą w środku, dwóch z czarnymi brodami po bokach. I tak jeździł po Wilnie. Wtedy nie skończyło się na lekkim upomnieniu, tylko już większej naganie.

Generał-gubernator Nazimow wyraźnie lubił Tyszkiewicza. W duchu to nawet podobała mu się ta polska fantazja. Przymykał więc oko na wiele rzeczy i starał się go chronić. Tak było w przypadku sprawy z zaprzęgiem. Hr Józef, jako wojskowy, posiadał w Landwarowie zaprzęg rosyjski. Niezmiernie raziło to uczucia narodowe jego młodej narzeczonej, wielkiej patriotki. Chcąc więc jej zaimponować, wymyślił niespodziankę. Kazał wyszykować zaprzęg krakowski. Przebrał furmana i służącego na koźle w strój krakowski i pojechał po narzeczoną. Podczas, kiedy zaprzęg czekał na ulicy, policja zobaczyła zakazane przecież polskie stroje, służący i furman zostali więc aresztowani i wychłostani. Kiedy hr Tyszkiewicz to zobaczył, wściekłość jego nie miała granic. Jakim prawem karana jest służba. Ja to zrobiłem, to był mój pomysł i moje ryzyko i tylko ja powinienem ponieść konsekwencje. Pobiegnął szybko do Nazimowa, zerwał odznaki wojskowe i wraz ze szpadą rzucił mu pod nogi. Oznajmił, że pod takim rządem to on nie ma zamiaru służyć, po czym wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Przez kilka dni

czekał, co z tego wyniknie. Wiedział, że grozi mu sąd wojskowy i kara śmierci. Nazimow jednak niczego nie potwierdził. Nawet, gdy został wezwany do Petersburga, bo i tam wieść doszła o wyczynie Tyszkiewicza, kategorycznie wszystkiemu zaprzeczył, twierdząc, że gdyby taka rzecz faktycznie się zdarzyła, to adiutant już byłby rozstrzelany.



Józef Tyszkiewicz i Zofia z Horwattów, fot. Wikimedia Commons.

Ponieważ nie zanosiło się, że młody Tyszkiewicz sam z siebie się ustatkuje, rodzina, stryjowie i starsi bracia postanowili go ożenić. Zaczęto szukać dla niego odpowiedniej rodziny, mającej aktualnie córkę na wydaniu. Wybór padł na Horwattów, dość blisko spokrewnionych z Tyszkiewiczami. Wybrano odpowiednią

porę i wysłano hr Józefa do pięknie położonego na Polesiu nad Prypecią Barbarowa. Skierowano go do najmłodszej Zofii, *bardzo miłej, choć wcale nieładnej panny*. Młody hrabia był przerażony. Jak dotąd na nieładne panny uwagi nie zwracał. Długo się wahał. Rodzina była więc wyrozumiała i dała młodemu trochę czasu, żeby się poznali. Zofia miała tak pogodne usposobienie i tyle dobroci, że w końcu Tyszkiewicz dał się namówić. Ślub odbył się w 1861 roku w Barbarowie w pięknym i ogromnym pałacu, urządzonym z wielkim przepychem i gustem. Po wszystkich niezwykle wzniosłych uroczystościach, młodzi udali się do Landwarowa, a potem do Paryża.

Józef wychowany bez rodziców, uczący się w szkołach rosyjskich, nie był aż tak negatywnie nastawiony do zaborców, co teściowie. Miał przyjaciół wśród Rosjan, z którymi dorastał, służył w rosyjskim wojsku. Żona natomiast z domu wyniosła wielki patriotyzm i pragnęła stworzyć polską, katolicką rodzinę. Raziło ją bardzo, że mąż bez problemu nosi rosyjski mundur i jeździ *trójką z kuczerem po rosyjsku ubranym*. Miała jednak nadzieję, że są to tylko powierzchowne przyzwyczajenia i z czasem, pod jej wpływem się zmienią. Miała rację, hr Tyszkiewicz zdecydował się wystąpić z wojska. Dał też znaczną sumę pieniędzy na zakup broni dla powstańców, mimo tego, że był zdecydowanie przeciwny niepotrzebnemu rozlewowi krwi i represjom. I jak przewidywała rodzina po ślubie się ustatkował.



Pałac w Landwarowie od frontu, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Tyszkiewiczowie zamieszkali najpierw w Landwarowie. Ze względu na bliskość węzła kolejowego rezydencja oprócz „zwykłych” gości, rodziny i sąsiadów, przeżywała istne naloty krewnych, kuzynów i dalszych znajomych. Pociągi jeździły wówczas rzadko, czasami i tydzień trzeba było czekać na przesiadkę. Jechano więc do Tyszkiewiczów, gdzie czas szybko płynął i z tygodnia robił się nie wiadomo kiedy miesiąc. Nic więc dziwnego, że po 10 latach takiego życia hr Zofia, mimo staropolskiej gościnności, miała już serdecznie dosyć tych nieustających i nie kończących się wizyt. Postanowiono przenieść swoją siedzibę, jak najdalej od węzła kolejowego. Fantazja hr

Józefa pognęła od razu daleko, za morze. Rozważany był wyjazd za granicę na stałe. Złożyło się na to wiele przyczyn, a przede wszystkim rosyjskie represje po powstaniu styczniowym i ciągle nowe prześladowania w Wilnie. Donoszono, że wyszedł zakaz mówienia po polsku na ulicy i w miejscach publicznych. Podobno córka generał-gubernatora Kachanowa zadenuncjowała krawcową, ponieważ do pomocnicy odezwała się po polsku. Hrabia Tyszkiewicz stwierdził więc, że sprzeda wszystkie majątki, zabierze dzieci ze szkół i całą rodziną wyemigrują.

Ja wiem, że strasznie będę tęsknić za krajem – mówił – ale moje dzieci będą tam już wychowane, inaczej będą się czuły, nie będą pariasami, tak jak tutaj. Moim obowiązkiem jest poświęcić się dla nich.

Zaczął się studiowanie map, dyktowanie listów dla zebrania informacji. Hr Józef starał się dobrać kraj o podobnej przyrodzie i warunkach klimatycznych. Wybór padł na Kanadę. Hr Zofia przeciwna była wyjazdowi. Uważała, że żadne prześladowania ich nie zrusyfikują, ani nie zgermanizują, a obowiązkiem każdego Polaka jest trzymać się swojej ziemi. Po dyskusjach, głębszym namyśle i namowach żony, hr Józef zrezygnował z wyjazdu do Kanady. W 1870 roku kupił od generał-gubernatora wileńskiego, hr Zubowa majątek Kretynga, położony niedaleko odziedziczonej Połangi i tam postanowiono przenieść swoją główną siedzibę.



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndzie.



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze.

Źródło:

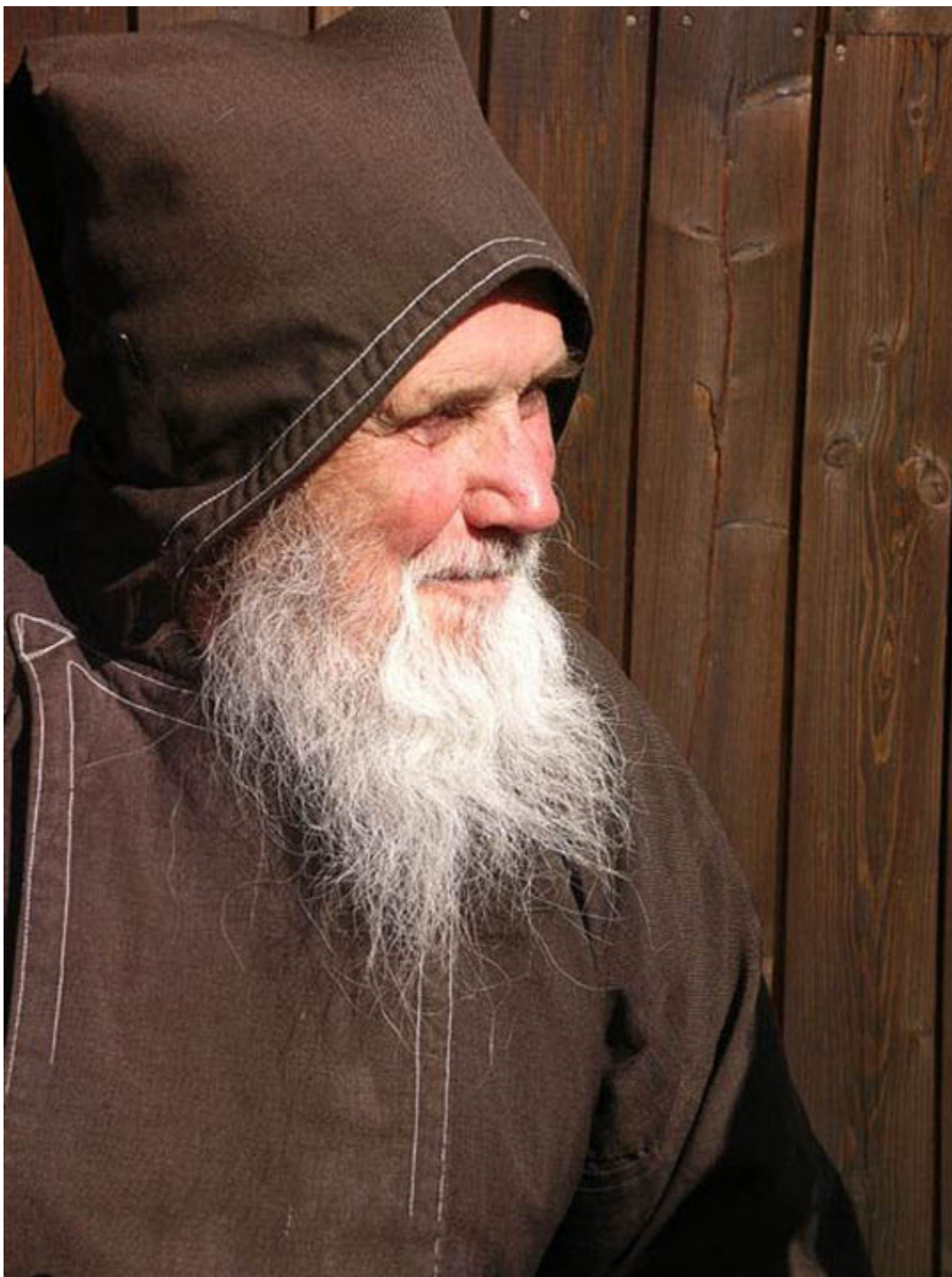
Helena z Tyszkiewiczów Ostrowska, Wspomnienia, maszynopis, arch. Hanny i Adama Tyszkiewiczów, Los Angeles.

O rodzinie Tyszkiewiczów na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/choinka-w-zimowym-ogrodzie/>

<http://www.cultureave.com/nie-ma-nic-wiecznego-na-tej-ziemi/>

Nie wstydźmy się być
wśród ludzi...



Ojciec Stanisław

Romuald Mieczkowski

Dokładnie nie pamiętam, kiedy poznałem o. Stanisława – Stanislovasa (Algirdas Mykolas Dobrovolskis). Słyszałem o nim

wiele pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy zaczęto coraz głośniej mówić o niepodległości Litwy. Spotkałem go w Datnowie na początku lat dziewięćdziesiątych. Charyzmatyczny mnich odnawiał wtedy tu swój klasztor, ale do końca życia pozostał jego nielicznym przedstawicielem – na Litwie jest około dziesięciu kapucynów, głównie w Petraszunach... Dom Generalny Zakonu mieści się w Krakowie.

Zaskoczyła mnie podczas pierwszego spotkania w Datnowie bogata biblioteka, znajdująca się w pokoju pośród ruin pomieszczenia, które odbudowywał. Rozmowę ciągle ktoś nam przerywał. Co rusz, pozostawałem sam. Przeglądałem więc bogate, ale też dość przypadkowe zbiory książek. Kiedy wreszcie mogliśmy porozmawiać, zastał mnie z XVIII-wieczną księgą:

– Interesuje to Pana? To proszę sobie wziąć, kiedyś pan mi ją odda, przy okazji. Mnie to już niepotrzebne, ale może będzie potrzebne dla innych. A zresztą proszę to zabrać na zawsze, widzę – robi pan z niej użytek.

Nie chciałem księgi, więc przez pewien czas starał się namówić mnie do jej wzięcia.

A potem opowiadał o swoim życiu podczas katorgi sowieckiej – w kopalniach węgla w Incie i Workucie. Robił to zupełnie inaczej niż słyszałem podobne opowieści z ust innych zesłańców – mówił

bez śladu męczeństwa, bez wskazywania na winnych, bez wołania o pomstę, ciągle żartując. Żałował swych oprawców, mówił, że za ich dusze każdego dnia się modli. W końcu zanucił pieśń rosyjską o słowikach.

- *I pojut wsiu nocz' sołow'ji...* Nie zaśpiewa Pan ze mną razem? Wy, młodzi tego nie znacie! A śpiewanie pieśni bardzo pomaga. Śpiewałem to w łagrach, a i teraz to pomaga.

Potem niejednokrotnie słyszałem, jak śpiewa o. Stanisław. Również inne pieśni, uwielbiał rosyjskie. Najbardziej lubił *Wieczernij zwon*, który ciągnął zazwyczaj o zapadającym zmroku. Głos miał nie za mocny, ciepły i nastrojowy.

Po tej pieśni najczęściej szedł spać, o 20. O północy wstawał, szedł do kościoła, gdzie odmawiał brewiarz... Wstawał zawsze o 4 rano...

Na Daleką Północ, za Koło Podbiegunowe trafił w 1948 roku. Jako „wróg ustroju socjalistycznego” dostał dziesięć lat. Zwolniony w 1956, krótko cieszył się wolnością. Został wywieziony ponownie, by dokończyć wyroku, polegającego na morderczej pracy w tychże kopalniach. Po powrocie w 1957 pracował w różnych parafiach, chętnie podróżował po Żmudzi z posługą duszpasterską, pomagając innym księżom, przyjaźnie wszędzie witany z racji swego subtelного usposobienia. Nie było

łatwo – bywał przesłuchiwany, ciągle zastraszany.

O. Stanisław rozmawiał ze mną po polsku. Urodzony w Radwiliszkach, w rodzinie – jak powiadał – spolszczonej, z językiem polskim zetknął się już we wczesnym dzieciństwie. Ciągle obecny był on w ich domu. Matka pochodziła z Datnowa, zmarła, gdy miał półtora roku. Ojciec pochodził z Kiejdan, obydwójce – z zubożałej szlachty. Rodzice, a potem i macocha – „na 95 procent” uważali się za Polaków, jak określił po latach. Po polsku rozmawiano przy posiłkach. Za używanie litewskiego nawet karcono dzieci. W szkole doznał olśnienia, przełomu w swej świadomości: jest przecież Litwinem! Od czwartej klasy zaczął mówić po litewsku. A potem doszło do harmonii lingwistycznej – mówił z przyjemnością po polsku, lubił... rosyjski, znał języki zachodnie.

- Znajomość języków otwiera przed tobą świat. Pomaga jak śpiewanie. I patrzenie też pomaga, patrzenie w dal. To leczy. Leczy duszę też patrzenie na piękne zakątki przyrody – mówił przy ostatnim naszym spotkaniu.

Kiedy zapytałem kiedyś, w jaki sposób ojciec uzdrawia licznie tu przybywających, o czym krąży fama po całej Litwie, kapucyn się zaśmiał:

- A czy ja kogoś uzdrawiam? Ja nigdy nie pytam, kim są

przybywający, jeśli sami nie chcą o tym powiedzieć. Ja nie daję im żadnych recept, nie pouczam. Piłeś – to jak chcesz, pij dalej! Możesz jednak spróbować tego nie robić, przekonać się, czy tak nie będzie lepiej. Jeśli chcesz – zostań tu, bez żadnych zobowiązań. Bądź cierpliwy i popatrz na zieleń drzew, błękit nieba, posłuchaj, jak cudnie śpiewają ptaki, popatrz na świat stworzony przez Boga. Jeśli chcesz, pomóż mi przy prowadzeniu gospodarstwa, przygotuj choćby drwa, pomóż przy remoncie kościoła. Łóżko zawsze się znajdzie, strawa też...

Potem się dowiadywał, że byli u niego niepospolici ludzie – znani artyści ze swoimi problemami, dziennikarze i pisarze, mężowie stanu z telewizji i z pierwszych stron gazet, jak też najpospolitsi alkoholicy i narkomani, łobuzy, złodzieje i naciągacze. I wielu z nich rzeczywiście wyleczyło się ze swych nałogów i ułomności, przebywając u o. Stanisława! Jak chociażby jeden Amerykanin: kiedy tu został, siadał z początku na ganeczku i pociągał sobie milczkiem whisky, a potem raptem przestał.

– Czy to klimat sprawił? – zastanawiał się zakonnik.

Na dobre to wszystkim wyszło: Amerykanin nie należał do biednych, a po rzuceniu picia stał się podobno milionerem, więc przysyłał z wdzięczności pieniądze. Przydały się przy odbudowie kościoła, w pomocy najbiedniejszym, w prowadzeniu pracy społecznej, która tutaj się rozwinęła, głównie z dziećmi z

pobliskich okolic.

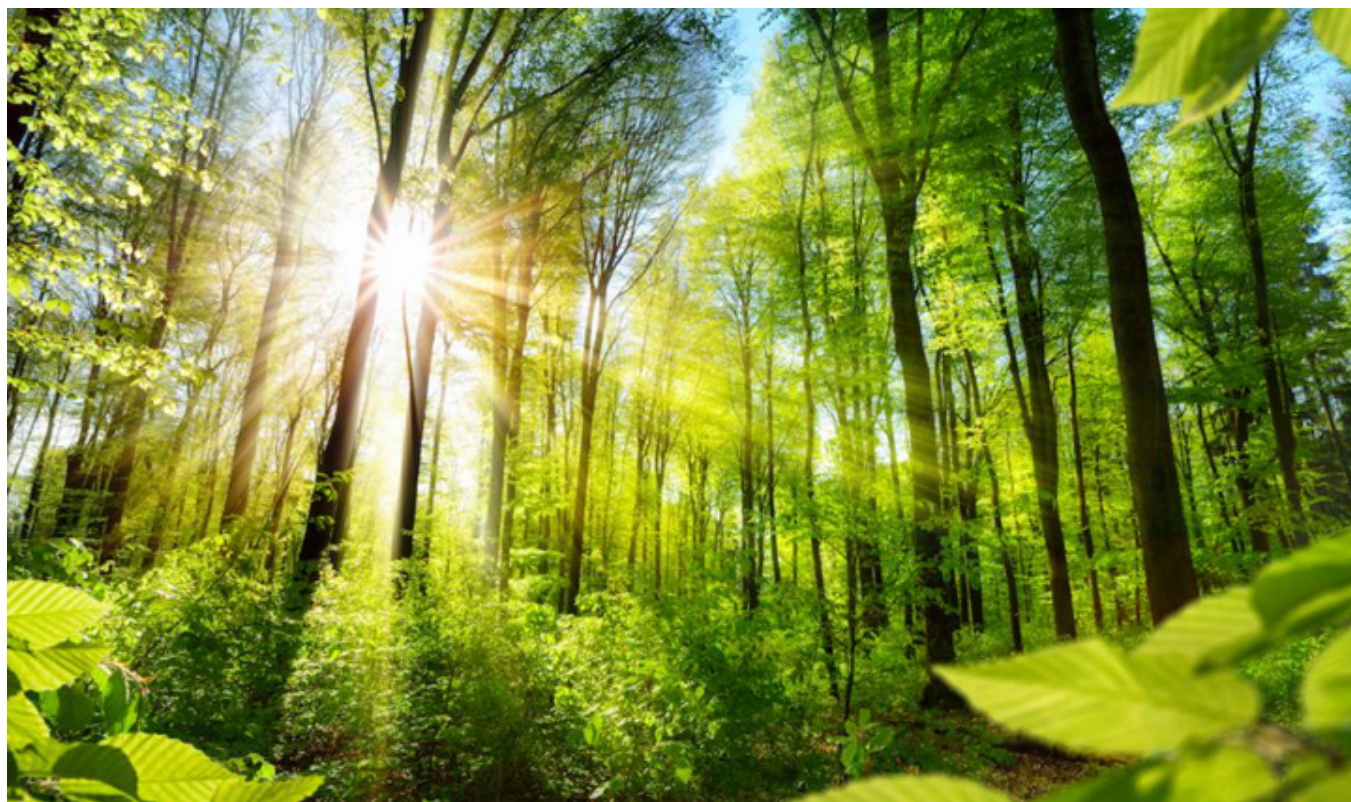
Czy pomógł? Pomóc mógł tylko Pan Bóg...

Po pobycie u o. Stanisława ludzi poszukujących pomocy, pozostały konkretne ślady. Miejscowość była czysta i zadbane – schludne ogrodzenia, piękny most na rzeczce, przebywający pozostawili po sobie pięknie rzeźbione drewniane krzyże i kapliczki...

Żaden człowiek nie jest sędzią dla drugiego człowieka – mawiał, podkreślając, iż wszyscy bywamy ułomni i słabi. Ubolewał, że wydajemy pochopne sądy o innych, że szczególnie politycy często bywają sędziami innych, grzeszą pychą. Ludziom trzeba wierzyć – uważał, dlatego nie używał klódek, niczego nie zamykał na klucz. I o dziwo, niczego mu tak naprawdę nie ukradziono. Jednego razu narkoman wyniósł kielich kościelny, ale potem go zwrócił...

Kiedy z nim rozmawiałem, moje niepokoje koł jego spokojny głos. Parę razy miałem zamiar wszystko rzucić i pojechać, pośród nocy, do o. Stanisława. Zanocować na żelaznym łóżku, przypominającym dawne czasy, w pokoiku obok, zimą patrzeć na ogień w piecu, a latem leczyć wzrok wschodem słońca i jego zachodem za daleki, widoczny w promieniu 60 kilometrów w tych stronach horyzont. Pomagać mu w czymkolwiek, co potrafię, a

jednocześnie prowadzić rozmowy z zakonnikiem. Ale sprawy bardzo przyziemne, obowiązki których stajemy się jakże często zakładnikami, nie pozwoliły mi na to, czego dzisiaj żałuję. Ale byłem tu wielokrotnie, przy różnych okazjach i z bardzo różnymi ludźmi.



W 2000 roku, jeszcze w Datnowie, w którym przebywał około dziesięciu lat, zawitaliśmy do o. Stanisława całym autokarem, podczas VII Międzynarodowych Spotkań Poetyckich „Maj nad Wilią”, które przebiegały pod hasłem „U schyłku Wieku, u progu Tysiąclecia”. Wtedy to ten skromny człowiek, kapłan o niezwyklej mądrości, w sposób prosty wyjaśnił poetom istotę tolerancji, ekumeniczność misji literackiej w dobie licznych zagrożeń, jakie

niesie transformacja ustrojowa i kulturowa. Z jakim zapałem opowiadał o swej parafii, położonej przecież w niezwyklej miejscu – w dolinie Niewiaży, miłoszowskiej Issy! W czasach sowieckich wiara mogła pozostawać silna, zaś w warunkach demokracji znacznie się zachwiać. Człowiek nie musi zapominać o Dekalogu, tylko się nim ma kierować – przekonywał wtedy.

Pamiętne było spotkanie w czerwcu 2003 roku. W ramach międzynarodowej konferencji, którą zorganizował Vytautas Toleikis, prezes Fundacji Oświecenia Litwy, a poświęconej problemom mniejszości narodowych w krajach, należących do dawnego Imperium Sowieckiego, zawitaliśmy do Kiejdan, a stamtąd do o. Stanisława, który na własną prośbę powrócił do swej parafii w Paberże. Jak zwykle, przyjął gości bardzo serdecznie i z humorem. Mówił o wielkiej witalności miejscowych ludzi, stwierdził, że przeżyli oni różne władze i ustroje, więc przeżyją „i Unię Europejską”, o której to wówczas tak wiele mówiono. Wstrzemięźliwy wobec wydawania sądów w tym zakresie, wierzył, że ci ludzie godnie się odnajdą w nowej sytuacji społecznej i ekonomicznej, zachowają wiarę i swe tradycje, instytucję rodziny.

- Litwa istnieje nie od wczoraj, nie od czasu działania chrześcijańskich demokratów czy innych partii – stwierdził.

W pewnym momencie, a mówił po litewsku i na przemian po

rosyjsku, uważnie patrząc na zebranych, przeszedł raptem na język polski. Wyjaśnił zebranym, że w ten sposób chciał powitać, „Polaka, którego dobrze zna”, czyli mnie.

Podczas tego pobytu byliśmy świadkami, jak się modlił. Stał w pełnym ciszy zmroku w swym wiejskim kościółku. W pewnym momencie słońce oświetliło jego postać, od siwizny długiej brody stał się przejrzysto jasny – wyglądał na proroka.... Chciałem mu zrobić zdjęcie, byłoby unikalne, ale zabrakło mi odwagi, żeby mu przeszkodzić.

W Paberże i okolicach o. Stanisław niósł posługę kapłańską około 40 lat, od roku 1966. W kościele Nawiedzenia Matki Boskiej. Jest to kościół drewniany, odbudowany po spaleniu się poprzedniego w roku 1899. Tamten kościół pamiętał uczestników Powstania Styczniowego, które w tych stronach było wielkim zrywem patriotycznym. Do klasztoru wstąpił w 1936 roku w Płungianach, gdzie odbył nowicjat. Potem, przeniesiony do Klasztoru Kapucynów w Szawlach, oddawał się studiom z zakresu filozofii i nauk humanistycznych. W 1944 skończył studia w Seminarium Duchownym w Kownie i został wyświęcony na księdza. Pracował w wielu parafiach na Żmudzi, po powrocie z łagru wędrował – z parafii do parafii. W Paberże dostała się mu jedna z najuboższych na całej Litwie – możliwe dlatego, żeby nie rozwinął tu żadnej „działalności antysowieckiej”.

- Nigdy nie działałem politycznie. W czasach sowieckich mówiłem, żeby ludzie kochali swoje ojczyste strony, sumiennie pracowali, byli dobrzy jeden dla drugiego. Zapewne źle zostałem zrozumiany przez tych, którzy dokonywali wywózek – mawiał.

Była tu bieda, ale wiara pozwoliła czynić cuda. Wierzący przyjeżdżali z dość odległych okolic, by posłuchać o. Stanisława. Komuniści tu brali śluby, chrzcili swoje dzieci. A kiedy powiały wiatry wolności, nie mógł nadążyć z chrzcinami, bo musiał dokonywać tysiące chrztów, również dorosłych, którzy w tamtych czasach odeszli od wiary. Zdarzało się, że niektórzy okoliczni księża nie byli zadowoleni z tego, zazdrościli mu takiej popularności.

Dziś Paberże liczy cztery chaty. Zostali tu tylko staruszkowie.

- To są święci ludzie – mówił. – Proszę spojrzeć, ile pracują! Sami nic nie mają, a nigdy nie narzekają. Ich życie jest proste i prawe. A miejscowa katechetka, która cały swój czas poświęca dzieciom! Ile takich ludzi na Litwie, w Polsce i na świecie!

Ostatni raz go widziałem 1 czerwca 2004 roku. Wybraliśmy się wtedy, jak to i wcześniej bywało, w polsko-litewskim składzie, by porozmawiać o tym, co w życiu ważne.

- Powiem szczerze: kiedy byłem młody, wydawało się, że tylko

kobiety bywają piękne. Potem zaczynałem zauważać coraz więcej pięknych rzeczy. Najważniejsze, żeby piękne było dobrym, bo tylko wtedy przeciwstawia się złu. Człowiek bywa jak dziecko – szybciej uczy się złego, nierzadko atrakcyjne przyjmując szaty – i wielką sztuką jest znaleźć w sobie siły, by żyć inaczej. Czy każdy je ma, jak je wydobyć z siebie? – zastanawiamy się.

– Czy jest piekło? – pada pytanie.

O. Stanisław przez chwilę milczy. A potem mówi.

– Piekło to absolutna samotność. Nic straszniejszego już być nie może. Dlatego nie wstydźmy się jak najwięcej być pośród ludzi, cieszyć ze szczęścia, którego czasami nie zauważamy, wobec którego bywamy obojętni lub małostkowi. Wtedy przyjdzie radość. A radość to harmonia. Radość nie bywa samotna, powstaje w dobrych związkach między ludźmi. Człowiek żyje po to, by czynić dobro, doskonalić się w imię szczęścia. Żeby przez siebie udoskonalać świat.

O. Stanisław miał wiele pasji. Największa z nich to poezja Rainera Marii Rilkego. Jest wielkim znawcą jego twórczości. Przekładał jego wiersze za Sowietów, chętnie czytał dla swych gości jego utwory, które – uważa – są „breviarzem dla inteligenta”.

Pięknie jest mieć własne modlitwy – uważał. A raz mi powiedział:

– Poetom to dobrze, mogą sami stworzyć sobie modlitwę. To wielkie szczęście stosować taką modlitwę. Powinna się ona powtarzać, jak mantra, by się skoncentrować na jednym punkcie. Mantra jest też najlepsza na smutek. Dobrze się modlić strzeliście i szczerze.

W ciągu lat kapucyn zgromadził wielki zbiór ornatów, wyrobów liturgicznych. Ponadto czego tylko nie posiadał – znalazły się tu krzyże, fragmenty ogrodzeń, latarnie, stare narzędzia pracy. Zanoszono i zwożono mu setki, jeśli nie tysiące dzwoneczków – ceramicznych, mosiężnych, żelaznych. Tak samo kluczy do zamków, które już nie istnieją, a więc są w gruncie rzeczy bezużyteczne. Gdy ktoś mówił, że to piękne muzeum regionalne, prostował:

– To nie jest muzeum, to schronisko starych rzeczy, które – dzięki innym ludziom – mnie odnalazły. „Przyjdzie do ciebie rzecz ukochana jak narzeczona” – cytuje Rilkego o. Stanisław.



Ojciec Stanisław z dziećmi.

Zachwycali się zbiorami przybyli, którzy z całej Litwy odbywali tu swoiste pielgrzymki. Najbardziej cieszyły one dzieci, które stale tu były obecne, całymi grupami! Kapucyn miał możliwości przenocowania i usadowienia przy stołach „na trzydzieści talerzy”...

– Co dziecko może zapamiętać po pobycie tutaj? Wiary uczy się stopniowo i umacnia ją całe życie, natomiast tu przynajmniej zwróci uwagę na dzwoneczki i klucze... A od tego i rozmowę można zacząć!

Był znany – pisano o nim w książkach, kręcono filmy, ale nie przywiązywał do tego wagi, pozostawał skromny. W tym roku, pod koniec maja, byliśmy z poetami z różnych krajów w Datnowie, Kiejdanach i Szetejniach. Bardzo chciałem zajechać do

kapucyna, ale zrezygnowałem z tego pomysłu – wiedziałem, że czuje się nie najlepiej. 23 czerwca 2005 roku, o. Stanisław OFM Cap. zmarł.

Choinka w Zimowym Ogrodzie



Joanna Sokołowska-Gwizdka

Kretynga leżała na Żmudzi, nad rzeką Okmianą, na drodze z Taurogonu. W chwili kupna, majątek był brzydki, nie było żadnego dworu tylko dwa domy położone jeden wyżej, drugi niżej. Z dawnych czasów przetrwała „Stara Szwajcarka” i stare dęby, sadzone jeszcze przez Chodkiewiczów, dawnych właścicieli, pochowanych w krypcie kościelnej. Drzewa te zostały otoczone wyjątkową opieką, puste w środku wypełniono kamieniami, a na zewnątrz ściągnięto żelaznymi obręczami. Nowo wybudowana rezydencja nie miała określonego stylu i nie przypominała z przepychem urządzonego pałacu. Nadal wyglądała jak dwa osobne domy, tyle że odnowione. Różnica poziomów między nimi wynosiła ok. 2 metrów. Na pierwszym piętrze wyższego domu urządzono bibliotekę, obok gabinet, z którego hr Józef kontrolował przez lunetę ruch w alei lipowej. Przy oknie w gabinecie znajdowała się tzw. „trąba”, przez którą można było porozumiewać się z kancelarią na parterze. (...) Ale hr Józef nie byłby sobą, gdyby nie zaczął wymyślać czegoś oryginalnego. Tak więc te zwykłe w sumie domy połączył, urządzonym z baśniowym przepychem, sławnym potem w całej Europie, Ogrodem Zimowym. W ogrodzie wybudowano małe stawy, połączone kanałami, a nad nimi przerzucono mostki. Nad stawami dwa wodotryski. Między nimi kaskada wpadająca do

trzeciego stawu z wysokości jednego piętra. Dół ogrodu otoczono sztucznymi skałami i grotami. W największej z nich podawano potem bezpłatnie podwieczorki licznym wycieczkom przybywającym z Kłajpedy, Tylży, Królewca i letnikom z Połagi. W grocie tej można było zmieścić aż sto osób. Sprowadzono niezwykle cenne okazy egzotycznych roślin. Słynna „Aurecaria” dochodziła do wysokości drugiego piętra. Tę samą wysokość osiągały liczne palmy sprowadzone z Afryki. Ogród Zimowy oświetlony był trzema łukowymi lampami elektrycznymi, dla których hr Józef wybudował elektrownię poruszaną turbiną wodną podczas jesiennej słoły, a parą wodną uzyskaną z opalanego drzewem lub torfem wielkiego kotła, podczas zimy. Z czasem lampy łukowe zamieniono na żarówki.



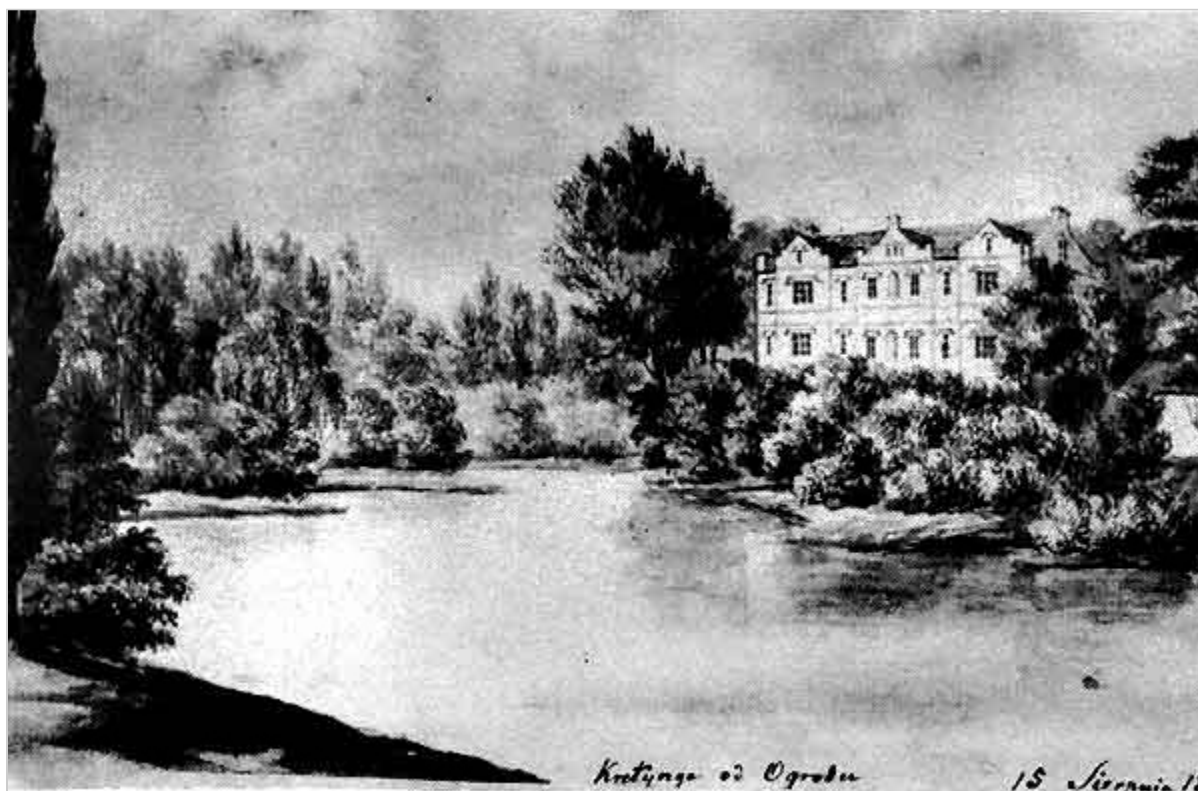
Kretynas, po lewej stronie pałacu Ogród Zimowy, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Życie rodziny Tyszkiewiczów toczyło się więc między Kretynką a Połąką, między zimą a sezonem letnim, połągowskim. Wszystko szło swoim rytmem. Dzieci rosły, chłopcy uczyli się w Petersburgu, pozostając pod opieką wychowawcy pana Bahra. Przyjeżdżali do domu tylko na wakacje i święta. Dziewczynki miały swoich domowych nauczycieli. Każde z dzieci wykazywało inne zainteresowania, miało inne upodobania i charakter.

Wychowaniem licznej, młodej latorośli zajmowały się głównie bony i nauczycielki, precyzyjnie dobierane przez rodziców. A kryteria w dobieraniu były różne. Dla hr Zofii najważniejszy był intelekt, umiejętności, ukończone szkoły i komunikatywność. Dla hr Józefa bezwzględnie wymaganym warunkiem w przypadku nauczycielki była uroda. W tym celu kazał wraz z ofertą przysyłać fotografię. Przeglądał potem nadesłane zdjęcia i brzydkie kandydatki natychmiast odrzucał. Raz osoba starająca się o posadę przysłała bardzo piękny swój wizerunek, a w liście zaznaczyła, że w rzeczywistości jest jeszcze ładniejsza. Na tę więc hr Zofia kategorycznie się nie zgodziła. Hr Józef poza tym stawiał jeszcze jeden warunek, który dotyczył wszystkich pracowników, również na stałe przebywających, lekarzy, inżynierów i rzemieślników. Każdy kandydat na pracownika musiał grać na jakimś instrumencie, lub śpiewać. Pan na Kretyndzie kochał muzykę, a od kiedy siedział w domu przykuty do wózka inwalidzkiego, była ona jego jedyną rozrywką. Orkiestrę musiał mieć przez cały rok. Sprowadził w tym celu z

Czech grupę rodzin rzemieślniczych, których członkowie należeli do różnych zespołów muzycznych. Przez jakiś czas pomysł zdał egzamin, bo ludzie ci pracowali w majątku i tworzyli dość zgraną grupę muzyczną. Z czasem jednak orkiestra się rozproszyła, Czesi powrócili do swojego kraju, została tylko jedna rodzina Suchanków, która wrosła już w nowe warunki. W związku z tym hr Józef zapragnął stworzyć orkiestrę z domowników, no i koniecznie musiała być zatrudniona nauczycielka muzyki, która dawałaby regularne koncerty. Najodpowiedniejszą kandydatką wydała się 20-to letnia Fraulein Retty. Selma Retty, córka Włocha i Niemki, wysoka blondynka o niebieskich oczach w ciemnej oprawie, przyjechała zaraz po ukończeniu Konserwatorium w Berlinie. Koncertowała już jako pięcioletnie „cudowne dziecko”. Wszyscy twierdzili, że rzeczywiście była niezwykle utalentowana, nigdy się nie przygotowywała, każdy utwór, Chopina, Beethovena czy Mozarta, potrafiła zagrać ze słuchu, wprawiając słuchaczy w niemały zachwyt. Po przyjeździe do Kretyngi układała więc programy, rozdawała role w duetach czy tercetach, tworzyła amatorski chór. Doktor grał na wiolonczeli, nauczycielka Angielka śpiewała pięknym mezzosopranem, a panna Retty z braku głosu „*ślicznie gwizdała*”. Nuty sprowadzane były z Berlina, na galerii Zimowego Ogrodu ustawiano fortepian, a wokół zasiadali domownicy. Do tego na dole, wśród grot i egzotycznych palm, zbierała się publiczność z miasteczka. Selma Retty w długiej wydekoltowanej sukni schodziła w przerwie na dół i kłaniając się

pięknie zbierała oklaski od licznych wielbicieli jej talentu. Hr Józef był tak zachwycony nowym muzycznym nabytkiem, że wszyscy przymykali oczy na licznie jej wady i dziwactwa. (...)



Kretynga według Napoleona Ordy.

Hr Józef jako zagorzały wielbiciel wszelkiego rodzaju wynalazków, musiał mieć też przy sobie na stałe inżyniera, albo elektrotechnika, którzy również zaliczali się do domowników. No i oczywiście nie można zapomnieć o plenipotencie, panu Jarmułowiczu. Jego zadaniem było objeżdżać wszystkie liczne i rozległe majątki. Miał on dużą rodzinę, więc żonę wysyłał na zimę do miasta, a sam zamieszkiwał w kretyngowskim domu. Pan Jarmułowicz był wielkim patriotą, uwielbiał literaturę polską

i często przy stole, wieczorami z wielkim namaszczeniem odczytywał strofy z poematów Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Robiło to na wszystkich domownikach duże wrażenie. Ci wszyscy ludzie, zarówno rodzina, jak i rezydenci, nauczyciele i inni należeli do tzw. „pierwszego stołu”. Był jeszcze „drugi ” i „trzeci stół”.

Do „drugiego stołu” należeli wszyscy ci, którzy skupiali się w tzw. Bufecie. Tam schodzili się na posiłki różni domowi pracownicy, a rządziła tu wszechmocnie apteczkowa. Była ona szafarką kuchni, stołowni i spiżarni. Drugą wszechwładną osobą w bufecie była panna Petronela Pylińska. Zwyczajowo rodzice wydając córkę za mąż, dawali jej wraz z wyprawą schludną, starannie ubraną osobę, która miała się tą wyprawą opiekować i pomagać młodej mężatce w prowadzeniu domu. Taką osobą była panna Petronela. Panna służąca musiała być szlachcianką, nawet z drobnej szlachty i odróżniała się od pokojówek, chociażby tym, że siedziała przy drugim stole, a nie przy trzecim. Pokojówka zwykle usługiwała pannie służącej, sprzątała jej pokój, dbała o jej rzeczy. Do obowiązków panny służącej było przychodzić co rano do dzieci, lub do państwa, budzić, dzieci czesać i ubierać, utrzymywać wszystkie osobiste rzeczy w porządku. No i naturalnie każda osoba w majątku Tyszkiewiczów musiała umieć co najmniej śpiewać. Panna służąca zwykle nie zgadzała się siedzieć w razie potrzeby przy stangrecie, bo uważała, że swój honor ma i to jej ubliża. Tak więc taką osobistą panną służącą

była dla hr Zofii panna Pylińska, otrzymana jakoby w posagu od rodziców Horwattów z Barbarowa. Wyglądała na dostojną matronę, niezwykle schludna, zawsze starannie ubrana z nienagannie białym i wykrochmalonym kołnierzykiem i żabotem, włosy uczesane z przedziałkiem, nigdy nie oparła się siedząc, zawsze prosta i sztywna, jak ten wykrochmalony kołnierzyk. Rodowita wilnianka mówiła czystym akcentem wileńskim, używała słów, które nie wszyscy znali. Mówiła „meszty” na pantofle, „kolonki”, na spinki do mankietów, wasistas na lufcik. Miała przy tym mnóstwo właściwych sobie powiedzonek „*niech cię kaczki podepczą*” czy „*na pochyłe drzewo kozy skaczą*”. W starszym wieku zrobiła się bardzo gderliwa, co stało się już nawet uciążliwe. Wiecznie marudziła, „*a po co to wszystko*”, „*nic z tego dobrego nie wyniknie*”, „*a po co pani hrabina tego tyle kupuje*”, „*po co tyle pieniędzy wydawać*” itd. W każdym razie stanowiła z całą swoją oryginalnością jeden ze stałych elementów kretyngowskiego domu. Do bufetowego towarzystwa należały też i inne panny służące Czasami do bufetu przychodziły nauczycielki, bo atmosfera tam zwykle była pogodna i wesoła. Grano w karty, żartowano, muzykowano na mandolinie.

Trzeci stół, najliczniejszy, obejmował głównie pracowników fizycznych, pracujących w obrębie majątku. (...)



Kretynga według Napoleona Ordy.

W Kretyndze pora roku wyznaczała codzienny bieg. Jesienią wokół domu było jeszcze mnóstwo róż i roztaczającej wspaniały zapach lawendy. Aleje usypane żołądkami i kasztanami, tonęły w kolorowych liściach. Zimą pod dom zajeżdżały sanie po skrzypiącym śniegu. A wiosną na trawnikach wyskakiwały pierwsze fiołki i klomby białych anemonów. Potem koło jeziora i kaskady ukazywały się konwalie. Do tego dochodzące dzwony od strony Klasztoru Bernardynów i pianie kogutów od strony folwarków. Potem na trzy miesiące wszystko cichło, pustoszało, zaczynał się sezon Połagowski.

Ten uregulowany, kretyngowski, jesienno-wiosenny tryb życia zmieniał się diametralnie dwa razy do roku w okresie świąt. Przyjeżdżali wówczas chłopcy ze szkół w Petersburgu i liczni goście. Czuło się, że jest święto. Pięciu dorastających młodzieńców wprowadzali ogromny ruch i ożywienie, opowiadali o swoich różnych szkolnych wyczynach. Uważano za rzecz naturalną, że młodsze siostry są na ich usługi. Nawet hr Zofia, zwykle zajęta sprawami majątkowymi i chorobą męża poświęcała im dużo uwagi. Wyjątkową słabość miała do Władysława, który był taki czarujący. A że zwykle nie miał umiaru w wydatkach, matka często go potajemnie wspomagała. Hr Józef wymagał, żeby synowie ze swojej comiesięcznej pensji odkładali jakąś określoną sumę, jako żelazne „*l'argent de garde*”. Wszyscy się do tego stosowali, tylko nie Władzio, który był takim estetą, kochał się w pięknych przedmiotach, no i miał niezwykle hojny gest dla biednych, że nie umiał sobie z tym poradzić. (...) Najstarszy Oleś wykazywał okazywał swoją dojrzałość we wszystkim, co robił. Starał się zastępować chorego ojca, każdemu coś poradził, młodsze siostry traktował z pobłażaniem.

Podczas świąt Bożego Narodzenia niezwykle przyjemnie było siedzieć wśród palm, szemrzącego wodospadu i całej tej egzotycznej zieloności, gdy za oknem była śnieżna, zimowa zawierucha. Hr Tyszkiewiczowie w Landwarowie i zaraz po przeprowadzeniu się do Kretyngi urządzali dla swoich dzieci choinkę. Później, gdy dzieci już podrosły, zrezygnowali z tego

zwyczaju, ku niezadowoleniu tych najmłodszych. Choinka urządzana była tylko dla dzieci służby. Przeznaczano na ten cel pieniądze, które do dyspozycji dostawały już miesiąc wcześniej młode panny Tyszkiewiczówny. Miały one zrobić listę dzieci, przewidzieć co im najbardziej potrzeba i z czego się cieszą i przygotować prezenty. Choinkę ogromnej wielkości ustawiano w Ogrodzie Zimowym. Przyozdabiana mnóstwem zabawek, świecidełek i lampek, a na końcu owijana od góry do dołu cieniutkimi, złotymi nićmi, tworzącymi mieniącą się sieć, wyglądała imponująco. Dzieci służby czekały na dole ogrodu, aż się je zawoła na rozdanie prezentów.



Tyszkiewiczowie, portret rodzinny
wiszący w pałacu w Kretyndze, fot.
Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Wigilia obchodzona była bardzo uroczyście. Na kolację wigilijną, tzw. „kucję” zapraszano oprócz domowników i gości wszystkich, całe towarzystwo z bufetu oraz niektóre rodziny oficjalistów dworskich i księży z pobliskiego klasztoru. Poziom wykształcenia

i kultury wśród duchowieństwa był niski, bo bez pozwolenia władz nie wolno było przyjmować kandydatów na duchownych do seminarium, a władze wydawały pozwolenia tylko dla tych, o miernych zdolnościach. Tak więc siedzący przy stole różowy, jowialny, nie za wiele mający do powodzenia ksiądz Proboszcz Terpejko, zaczynał „kucję” od modlitwy i dzielenia się opłatkiem ze wszystkimi obecnymi. Na stole wigilijnym były trzy zupy: migdałowa, barszcz z uszkami i zupa z wina tzw. szodonowa. Potem ryby: szczupak faszerowany, karp z rodzynkami, ryby smażone w cieście i słodkie dania: kisiel, kluski z makiem, kompot z suchych owoców. Młodzi Tyszkiewiczowie sadzani byli pomiędzy księży i oficjalistów dworskich, a hr Józef bacznie im się przyglądał jak radzą sobie z konwersacją z sąsiadami. Z reguły nie za wiele mieli wspólnych tematów. Wymagania dotyczące zachowania się wobec innych były rygorystycznie przestrzegane. Gdy goście wyjeżdżali z Kretyngi, żeby zdarzyć na odpowiedni pociąg, musieli wyjść ok. 7 rano. Nie do pomyslenia było, żeby któryś z chłopców nie wstał pożegnać się, obojętnie czy to była niedziela, czy święta. Jeżeli, któryś z synów zasnął, musiał natychmiast napisać list z przeproszeniem do odjeżdżającego gościa i dać ojcu do wysłania. Po wigilijnej kolacji, zaczynał się uroczysty koncert, z głośnym śpiewaniem kolęd przez wszystkich domowników i pracowników. Dopiero drugiego dnia świąt otrzymywało się prezenty, ale w innej formie, niż spod choinki. Rodzice, dzieci, nauczycielki i goście dostawali po trzy losy, wszystkie wygrywające. Do pierwszej

kategorii należały prezenty bardziej kosztowne, artykuły podróżne, przybory do pisania, ozdoby do pokoju, do drugiej trochę mniejsze, a do trzeciej drobiazgi. Po śniadaniu wszyscy wchodzili do salonu, gdzie na dużym stole poustawiane były wszystkie przedmioty biorące udział w loterii fantowej. Po wylosowaniu zaczynała się druga część zabawy, wymienianie się w sposób jak najbardziej korzystny.

Podczas świąt oprócz rodziny, która przyjeżdżała z daleka, Kretynę odwiedzali też sąsiedzi. Najczęstszymi gośćmi byli ks. Ogińscy z Płungian. Najpierw zajeżdżały sanie, albo kareta zaprzężona w czwórkę koni, ze strzelcem na koźle obwieszczającym, że książę pan jedzie. Po czym wysiadał książę Michał, mały, czarny, z długim, podkreśnionym wąsem, wyglądem przypominającym Włocha, szybki, ruchliwy, jakby się gdzieś spieszył. Potem w bramie ukazywał się następny podobny ekwipaż, którym w odwiedziny przybywała księżna pani z domu Skórzewska. Smutne pędziła życie w ogromnym pałacu w Płungianach, sama, bez dzieci, odwiedziny w sąsiedztwie zwykle więc celebrowała. U Ogińskich tylko raz do roku odbywały się wielkie zjazdy, na św. Michała. Wtedy wszystkie orkiestry (a każdy z braci miał swoją) miały pole do popisu. Balowano cały tydzień. Ogromny, z przepychem urządzony pałac i jeszcze większy park zapełniał się gośćmi, ruchem i gwarem. Co jednak te orkiestry robiły cały rok, tylko Bóg raczy wiedzieć. Legendy krążyły po okolicy o starej księżnej Ogińskiej, z domu

Kalinowskiej. Podobno była niegdyś nałożnicą cara i stąd jej wygórowane mniemanie o sobie. Przed ślubem syna Michała miała swój własny, wygodny apartament w Płungianach. Kiedyś przyjechała odwiedzić młodą parę po ślubie, dowiedziała się od służby, że podczas jej nieobecności nocował w jej apartamencie, tak się zdenerwowała, że kazała wszystkie meble oraz to co się dało zerwać ze ścian wynieść na dziedziniec i publicznie spalić, po czym nigdy już do syna nie przyjechała.

Goście typu księżna i książę Ogińscy wprowadzali bardzo ceremonialną atmosferę. Myślano tylko o tym co wypada, a co nie, żeby przypadkiem kogoś nie urazić. Dzieci nie zawsze jednak stosowały się do etykiety. Raz podczas takich bożonarodzeniowych odwiedzin młodzież wymyśliła zabawę. Czerpiąc wodę z malowniczo położonych szemrzących strumyków na dole Zimowego Ogrodu zaczęła oblewać sikawkami gości siedzących na galeriach i sztywno prowadzących dysputę, jak to w dobrych towarzystwach bywa. O dziwo, goście żądni odwetu chwycili za dzbanki i lali z góry na chybił trafił. Mimo ewidentnych szkód i konieczności zmiany garderoby, towarzystwo się rozruszało i wesoło już było do wieczora. W okresie świąt nie lada rozrywką były zabawy teatralne, mające typowy charakter salonowy. Układano szarady, wystawiano muzyczne na ogół jednoaktówki, przedstawiano żywe obrazy, z całym pietyzmem do ról się przygotowując. W amatorskie przedstawienia zaangażowani byli wszyscy,

gospodarze, goście i służba. Bale kostiumowe też były pożądane, jako jedna z rozrywek.. Kiedyś, ku zdumieniu wszystkich, wbiegł, a raczej wskoczył wielkimi susami, gość z sąsiedztwa Stanisław Gawroński, przebrany za kota, z wielkim czarnym ogonem i długimi wąsami. Podobno służący obszywał go całą noc skórkami króliczymi, aż zaszył go całkowicie zostawiając tylko otwór na oczy.

Nowy Rok obchodzono tradycyjnie. Gdy wybiła 12.00, wszyscy szli do kościoła na modlitwę, potem kierowali się do gabinetu ojca, gdzie czekały już poustawiane kieliszki z szampanem i wielkie torty z wypisaną nową datą. (...)

Na Żmudzi życie toczyło się więc ustalonym rytmem, od sezonu letniego do sezonu letniego, od świąt do świąt. Dzieci rosły, a dzień płynął za dniem. Wszystkim się wydawało, że czas stoi w miejscu i że nic go nigdy nie zmieni, że rodzinne tradycje, siadanie przy wspólnym stole, obyczaje i zwyczaje świąteczne są częścią ustabilizowanego, spokojnego życia.

Józef Tyszkiewicz z żoną Zofią z Horwattów i dziećmi przenieśli się z Landwarowa do Kretynki po Powstaniu Styczniowym.